

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 17-18 (59-60)

Jerozolima, 16 października 1945

Rok III

ZYG MUNT NOWAKOWSKI

Więc czegoż mamy się wyzbyć?

Na niespełna dwadzieścia lat przed wyzwoleniem Polski, najtęższy matematyk naszej literatury, poeta, który nie cierpiał lecz myślał za miliony, zwolennik etatyzmu i wielbiciel cenzury narodowej, czyli po prostu Wyspiański, posługując się porte-parolem — Konradem, przeprowadził następujący dialog z maską Nr 20:

— Więc czegoż mamy się wyzbyć?
— Poezji.
— Poezji?
— Tutaj zacznie się nasza siła.
— Więc możemy mieć siłę.
— Więc ty jej nie czujesz mimo poezji.
Czyś ją ty może czuć przez poezję? Ale nie, to był upór — i tylko wobec siebie siła. Ale ta siła wobec drugich, to nie może być poezja.
— Więc co?
— Wola... To, czego chcę, żądam, musi być. Trzeba umieć żądać i wiedzieć, czego żądać.

Itd. itd. Następują liczne postulaty pod adresem rządu polskiego. Pisał to w r. 1903. Kwintesencją „Wyzwolenia” jest fakt, że Konrad-Wyspiański przepędza Geniusza poezji, że go zamyka w podziemiach wawelskich, zatrzaskawszy za nim ciężkie, żelazne wieko. Ów geniusz poezji, wedle dokładnych wskazań Wyspiańskiego-malarza, ma mieć rysy Mickiewicza z pomnika na rynku krakowskim. Pomnik ten zburzyli Niemcy na początku wojny, zapewne uważając, że poezja była dla każdego Polaka siłą nie tylko wobec niego samego, ale i wobec drugich. Oraz że Polacy „przez poezję”, dzięki poezji, mieli „upór”.

— Więc czegoż mamy się wyzbyć?
Niczego. Już niczego. Nie mamy niczego do stracenia, do wyzbycia się. Straciliśmy tak wiele, że teraz musimy pilnować wszystkiego, co choćby tylko z pozoru jest nasze. Znajdą się ludzie, którzy na rozkaz gotowi głosić każdej chwili, że naszym obowiązkiem jest wyzbyć się nie tylko poezji, ale woli, honoru, granic, niepodległości, aspiracji na przyszłość, nawet nazwy „Polska”. Ci ludzie Polakami nie są, przyjąwszy służbę obcą.

Z rzeczy, z tych niewielu rzeczy, które nam jeszcze zostały, nie możemy wyzbyć się poezji, ponieważ w niej jest upór, w niej jest siła nie tylko wobec nas samych, ale i wobec drugich. Nie idzie mi o poezję tę, która dzisiaj się rodzi. Polacy i Polki, znajdujący się obecnie we wszelakich, rzekomo uwolnionych obozach, rozsiani po całych Niemczech, piszą masami wiersze. Ale, jak mówi znów Konrad w tym samym „Wyzwoleniu”: „Poezja nie są wiersze”. Zwłaszcza te wiersze, które stamtąd hurtem napływają, choć i w tych wierszach, na ogół słabych, wyraża się pewna postawa życiowa, pewien upór, będący siłą wobec siebie i wobec drugich. Nie na darmo w literaturze polskiej króluje poezja, proza idzie na drugim miejscu, niezmiennie rzadko sięgając po „rząd dusz”.

Rzecz to w każdym razie dziwna i znamienna, że jakiś „Häftling” z Ravensbrück, dorwawszy się w Szwecji ołówka i kawałka papieru, notuje wierszem, wierszem, nie prozą np. obraz taki:

Wysięć o polewce, pęd gromada głodną —
schweimeret! Idioten! Ręka w pysk ciężkie-
tapy,

Biały krzyż zamazał wszelką ludzką
godność —

Warto dostać w gebę za ciepłe ochłapy...

Albo ta sama autorka przesyła mi wiersz, pisany w Padborg w maju 1945 r.:

To nie sen? Nie bajka? To naprawdę!

Wicie!?

Czy to my „Häftlingi”? Czy to my, numery?

Czy naprawdę być może tak dobrze na

świecie?

Uśmiech ludzki nas wita — uśmiech dobry,

szczerzy.

Danio! Ludzie kochani, serdeczni i mili!

Serca ciepłem drżące! Biała magia mleka!

Cudzie czarnoksięski tej jedynej chwili,

Kiedy Häftling-numer zmienia się w czło-
wieka.

Usta nasze nawykły długo do milczenia —

Nie wiemy, co mówić i jak wam dziękować —

Listem wróć do Was najlepsze wspomnienia

I serca wdzięcznością bijące... bez słowa.

List pisany już w Szwecji, w jakimś „Flynktlinglägret”, Mogard, Doverstop — apeluje do mnie: „Zaklinam Pana, niech Pan nie rzuci od razu do kosza mego listu. — Siedzi-
my w Doverstop, odbywając kwarantannę, i

spisujemy łagrowe wiersze. Mamy ich bardzo dużo. Błagam, proszę przeczytać przynajmniej. Przepraszam, że ołówkiem, atramentu nie mamy...”

Niespokojne ręce drapią pod koszulą...

Świerzb — wszę — rojowisko — brak mydła

i wody —

Kaszłące postacie po kątach się kulą —

Gruźlica i Durchfall tu idą w zawody...

Czytam, na myśl mi nie przyjdzie, by rzucić do kosza. Czytam, i pojąć mi trudno, że oni nawet to pragną przybrać w rymowaną szatę! Dziwni ludzie! Pisz mi ktoś nieznany z obozu w Gebhardshagen: „Nie mamy książek, nie mamy pism, nie mamy nut”. Mimo to urządzają jakieś wieczory amatorskie, posługując się... pamięcią. A wiersze? „Były to rekonstrukcje wierszy znanych autorów...”

Czegoż mamy się wyzbyć? Poezji? Czy potrafimy? Czy leży to w granicach naszych możliwości? Poza tym wydaje mi się, że od dość dawna już nie mieliśmy poezji prawdziwie wielkiej, wieszczej. Ostatnim twórcą, który sięgnął po rząd dusz, był właśnie wróg poezji i jej wszechwładcy, Wyspiański. Mało mu było tego, że Mickiewicza wtrąca głęboko do lochów wawelskich! W „Akropolis” dokończył dzieła, burząc całą katedrę:

Na zdruzgotany gmach kasztelu

Bóg wpisał swoje prawa!

Jakiż w tym paradoks! I któż jest świadkiem zniszczenia Wawelu? Dawid, złoty harfciarz-psalmista z chóru katedry! Ktoż zabija poezję? Kto się jej każe nam wyzbyć? Poeta! Nie pierwszy zresztą, bo wyprzedził go Norwid, utrzymując, że już dość poezji, że znudzony pieśnią lud woła o czyn. Wawel podobno stoi nietknięty, jak dotychczas, przepaść jednak tyle świątyń, pałaców, teatrów, że już nie burzmy tego, co pozostało. I nie wyzywajmy się poezji, mianowicie wielkiej i wieszczej.

Nie mieliśmy jej od dawna. Po śmierci Wyspiańskiego, zupełnie tak samo jak po zgonie trzech wieszczów, zapanowała proza. Przed wojną chlubiliśmy się posiadaniem wielu świetnych liryków, których wierszami rozkoszowała się młodzież i starsi smakosze, ale poezja ta nie wywierała najmniejszego wpływu. Rostworowski, gdy zaczął uczyć naród,

przestał być poetą. „W „Strasznych dzieciach”, głównie w „Zmartwychwstaniu”, ponosił klęskę.

Nasza przedwojenna poezja była przeżnięta sportowa, urbanistyczna, opiewała nie marmur ale beton, nie chciała okiełznać Pegaza, wystarczał jej bowiem motor. Zamiast „narodu” interesowało ją np. boisko, wychowanie fizyczne, ewentualnie zagadnienia społeczne z przesunięciem się na lewo. Kajak, samolot, szybowiec, nawet, od czasu do czasu, tramwaj, poza tym turystyka, góry, jeziora, morze. Słowem, niemal „Kraft durch Freude”.

Dzisiaj trzeźwo sprawę ujmując, wypada stwierdzić, że np. Cecora była drobnym epizodem, który sztucznie urosł do symbolu. Padło kilka tysięcy z hetmanem na czele. Cecora 1945 r. jest totalna, od góry do dołu, w kraju i za granicą, wszędzie. Po powstaniu styczniowym zapanowała świadomość klęski, ale ta klęska tak się ma do dzisiejszej, jak opowiadanie Sobolewskiego z III części „Dziadów” do opowiadania „Häftlinga” z Ravensbrück. Emigracja, tzw. „wielka” po powstaniu listopadowym tak się ma do dzisiejszego exodusu, jak kropla do morza. Jesteśmy wyjątkowym zjawiskiem, fenomenem dziejowym bez precedensu i bez nazwy. Stanowimy absolutną nowość.

Czegoż to mamy się wyzbyć? Po powstaniu styczniowym zapanowały hasła pracy od podstaw, pracy organicznej, postępu, oświaty, pozytywizmu, higieny itd. itd. Błady baironista ustąpił miejsca lekarzowi, przyrodnikowi, głównie inżynierowi. „Inżynier to ludzkość!” — woła Orzeszkowa. Zamiast historiozofii np. Krasińskiego, zamiast jego teorii „Błogosławmy ojców winie!”, zakwitnęła szkoła krakowska, potępiająca w czambuł nie tylko powstania, ale całą bez wyjątku historię Polski. Według Bobrzyńskiego dzieje Polski są dziejami jednej wielkiej klęski.

Co będzie teraz? Po sześćdziesiątym trzecim roku zaczęła rozwijać się „praca od podstaw”. Jak się rozwijała, to już mniejsza, ale w każdym razie miała „podstawę”, mianowicie podstawę podzieloną co prawda na trzy części, jednak rzeczywistą. Podstawą była ziemia polska, jedna w trzech zaborach, jedna, nie dzięki jakimś hasłom „organicznym”, ale

W numerze:

William H. Chamberlin: Czy potrafimy zrobić interes ze Stalinem? — Tadeusz Borowicz: Niemcy a pokój Europy. — Jan Karski: Odwet. — Jerzy: Reduta Orzona. — Bolesław Kobrzyński: Wiersze włoskie: Żal Fornariny. Ponte Vecchio. — Tymon Terlecki: Wyspa trudnego szczęścia. (Essay o Anglii). — Jerzy Pietrkiewicz: Ze „Sznura pereł dla Aury”. — J. W. Hirsberg: Dokument przyjaźni polsko-tureckiej. — Arkady Fiedler: Zwycięzca Nlagary.

jedna organicznie dzięki poezji. W tej poezji był upór, była siła wobec siebie samych i wobec drugich.

Jak zawsze u nas, nie brakło w owych zamiarach pozytywistyczno - organicznych pewnego paradoksu. Np. oświata wzięła sobie za teren, i bardzo słusznie, wieś i przedmieście. „Pójdź, dziecię, ja cię uczę każę!” — kończy romantyczna pozytywistka, Konopnicka, swój piękny obrazek „Przed sądem”. Lecz owej literaturze, która odwróciła się plecami do ideału, frontem do praktycznych zadań, przyswiecał zawsze i stale... ideał narodowy. Konopnicka powtórzyła jedynie zaklęcie Słowackiego, zmieniając je pod względem werbalnym. Inni wcale nie kusili się nawet o tę zmianę. Asnyk, niby to pozytywista („Z żywymi naprzód iść!”), gdy przyszedł do założenia Tow. Szkoły Ludowej, nie wymyślił własnego motta, wziął je jedynie żywcem z „Testamentu” Słowackiego, z przekłętą poezji romantycznej: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei, i przed narodem niosą oświaty kaganiec!” A cóż uczynił Krąszewski, zakładając Macierz Szkolną? A ileż to najbardziej znacznych inicjatyw, wyrosłych z wyparcia się tyrana-poezji, brało sobie za katechizm słowa Mickiewicza „W szczęściu wszystkiego wszystkich są cele!”? A czy właściwie ojcem polskiej, trochę uprzedmiotowionej, sztuki ludowej, nie był niejaki Cyprian Norwid?

W literaturze naszej tak się wszystko zawsze układało, że nie mogła się ona nigdy pozbyć serwitutu narodowego. Młoda Polska? Okres krótki stosunkowo, poza tym największy twórcy z tych lat nie zapomnieli ani na chwilę o tzw. ideale narodowym. Przybyszewski jest autorem szkicu „Szopen a naród” i niemal mesjanistycznego „Szlakiem duszy polskiej”. Tetmajer chciał za wszelką cenę wypowiedzieć się w dramacie i napisał „Zawiszę Czarnego”, utwór, który jest peanem na cześć bezinteresownego, doprowadzonego do jakiejś chemicznej czystości, bohaterstwa. Nie mówię już o Rydlu czy o Żuławskim, ale nawet Kasprzowicz, tam, gdzie jest najbardziej prometejski, gdzie „wodzi się” z samym Bogiem, przecież nie odrywa oczu od Polski. Nawet Miciński ten od „Kniazia Patiomkina”, ten od „Xiedza Fausta”; nawet tonący „W mroku gwiazd” Miciński pragnie dotrzeć „Do źródeł duszy polskiej”.

Tak to już jest i zmienić się nie może. Pierwszy nasz wielki, prawdziwy poeta, Kochanowski, humanista, który rzekomo tylko „sobie śpiewał a Muzom”, przecież ma duszę pełną Polski, ma zawsze na końcu języka słowo przestrogi i groźby, słowo Kassandry z klasycznej „Odprawy posłów greckich”. I pierwszy wielki prozaik, Skarga, niby głównie Kościoła sługa, niby przede wszystkim jezuita i społecznik, mógłby o sobie powiedzieć: „Był serce moje rozkroić, nie w nim nie najdziesz inszego, jako... Polskę!” I tak było, tak jest, tak będzie zawsze, dopóki istnieje mowa polska, polska poezja i literatura, obie obciążone serwitutem, który sprawia, że arcydzieła naszego piśmiennictwa są niezrozumiałe dla obcych. Trudno! Poezja nasza nie jest parnasistowska, nie jest kosmopolityczna ani wyjątkowo artystowska. Nie potrafią ocenić jej ani zrozumieć obcy, rzecz w tym, abyśmy sami ją rozumieli. Byśmy nie wyrzekli się jej nigdy, bo ona, nie co innego, dała nam być niepodległą w ciągu z górą stuletniej niewoli.

Jesteśmy świadkami czegoś, co w nieudolnej, prymitywnej miniaturze pragnie przywłaszczyć sobie jak gdyby hasła pracy organicznej. Nie „Tekla Stańczyka”, ale b. teka Stańczyka, ex-ministra pracy i opieki. Oświata dla ludu, ale precz z inteligencją, ponieważ inteligencja stanowi balast. A kto będzie oświecał po wypędzeniu inteligencji? I jak wiele tej inteligencji zostało? Czy konieczne trzeba uzupełniać kosekwentną pracę obu okupantów, którzy dołożyli wszelkich starań, aby zabić właśnie inteligencję?

Pisząc ten artykuł z tak daleka, muszę pominąć aktualia. To, co się może stać jutro, pojutrze albo za dni kilka, zdystansować gotowo wszystkie przewidywania. Jeśli zaczytałem listy i wiersze z obozów, uczyniłem to, by uwypuklić za czym tęskni, do czego dąży olbrzymie zjawisko bez precedensu i bez nazwy, zjawisko może kilkamilionowe, ten niemal, niemal naród bez kraju, bez ziemi, cisnący się na chwiejnych z wysiłku nogach, wy-

(Dokończenie na stronie 7-ej)

JAN LECHOŃ

PRZYPowieść

Generalowi Andersowi

Żołnierz, który zostawił ślady swojej stopy
Na wszystkich niedostępnych drogach Europy,
Szedł naprzód, gdy nie mogli najbardziej zajadli,
I wdierał się na szczyty, z których inni spadli,
Zdobyszy wolność innym dłońmi skrwawionemi,
Dowiedział się nareszcie, że sam nie ma ziemi.

I wtedy ktoś rozumny, nie rozumny szalem
Powiedział mu: „Oddawna wszystko to wiedziałem,
Wiedziałem, że nikt Twoich ran Ci nie odwzajemni,
Bo niczem krew co płynie, przy złocie, co brzęczy,
I nigdy nikt nie liczył leżących w mogile,
Bo czym jest duch anielski przy szatańskiej sile?
Jak żal mi, że Ci oczy nareszcie otwarto!
I powiedz sam mi teraz: Czy to było warto?”

A żołnierz milczał chwilę i ujrzał w tej chwili
Tych wszystkich, co wracali i co nie wrócili,
Tych wszystkich, którzy legli w cudzoziemskim grobie,
Co mówili „Wrócimy”, nie myśląc o sobie.
I widzi jakichś jeźdźców w tumanach kurzawy
I słyszy dźwięk mazurka i tłumy wołanie —
Dąbrowski z ziemi włoskiej wraca do Warszawy.
„Czy warto?” Odpowiedział „Ach! Śmieszne pytanie!”

WILLIAM HENRY CHAMBERLIN

Copyright by „The American Mercury” and „W Drodze”.

INTERES ZE STALINEM?

William Henry Chamberlin, którego artykuł poniżej ogłaszamy, przez kilka lat przebywał w Moskwie jako korespondent dzienników anglosaskich. Swej znajomości Rosji zawdzięcza kilka książek na tematy sowieckie, jak np.: „Soviet Russia”, „Russia's Iron Age”, „Collectivism — a false Utopia”, „Russian Enigma”.

Opinii polskiej Chamberlin jest dobrze znany z obiektywnego, uczciwego stanowiska, zajmowanego w sprawach europejskich, gdy pisał dla „The American Mercury” artykuły takie jak „Some truths about Poland” lub „What has really happened in Yalta”. W tymże samym miesięczniku ukazał się artykuł „Can we do business with Stalin?” („Czy potrafimy zrobić interes ze Stalinem?”), który „W Drodze” drukuje, za zezwoleniem autora, w przekładzie polskim.

Temat artykułu łączy się ściśle z zagadnieniami, poruszonymi przez Chamberlina w jego najnowszej książce: „America — partner in world rule”.

I

Przekonanie, że nie mogliśmy zrobić interesu z Hitlerem było ważną przyczyną wciągnięcia nas do drugiej wojny światowej. Kwestia, czy będziemy mogli zrobić interes ze Stalinem, może równie dobrze zdecydować, czy nastąpi trzecia wojna światowa. Wyrażenie „zrobić interes” w obu wypadkach jest użyte w sensie szerokim: chodzi nie tylko o wymianę handlową, lecz o całokształt stosunków politycznych i kulturalnych.

Nie można dostatecznie podkreślić znaczenia sowieckiej polityki zagranicznej dla pokoju świata. W istocie bowiem, gdyby rząd sowiecki zdecydowanie się skłonił ku polityce rezygnującej z agresji i poświęcił się pracy nad podniesieniem stopy życiowej wewnątrz swych rozległych obszarów, niewielka byłaby obawa jakiegos poważnego konfliktu zbrojnego w granicach tej przyszłości, jaką można obliczyć. Jak wykazały wypadki niedawnych paru lat, wojna współczesna może być skutecznie prowadzona tylko przez wielkie skupienia: siły ludzkie, zdolności produkcyjne przemysłowe i skarbowe naturalnych. W końcu obecnej wojny będą istnieć tylko trzy takie zespoły: Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Imperium Brytyjskie.

Gdzie można znaleźć równą im potęgę? Niemcy już są rozbite. Japonia jest właśnie rozbijana. W końcu wojny przemysł obu tych krajów będzie zrujnowany, ich rezerwy ludzkie doznają potężnego upustu krwi, i obydwa kraje będą poddane bardzo ostrej wojkowej i przemysłowej kontroli. Jeżeli założymy, że wśród zwycięskiej koalicji będzie utrzymana jedność, wówczas ani Niemcy, ani Japonia nie mogą w ogóle żywić nadziei, aby się im udało znów wynurzyć jako wielkim mocarstwom, ile że ani jedno z tych państw nie posiada takich obszarów, rezerw ludzkich i bogactw naturalnych, jak którekolwiek z państw Wielkiej Trójki.

Z wyjątkiem kilku państw neutralnych, będących jak gdyby oazą, Europa jest swym dawnym cieniem. Zrujnowana przez bombardowania, poróżniona przez głębokie nienawiści, wyniszczona głodem, pada żerem chaosu.

Wielkim mocarstwem są Chiny, jeśli chodzi o ich przestrzeń i ludność. Są one jednak zacofane pod względem gospodarczym i technicznym i po porażce Japonii stoją wobec poważnego zagrożenia swej jedności państwowej. Będzie to wymagało przynajmniej całego pokolenia, bardziej zaś prawdopodobnie dwóch, nim Chiny będą mogły nabyć tyle wiedzy technicznej i doświadczenia, aby zyskać zaplecze przemysłowe wymagane przez współczesny sposób prowadzenia wojny. Te same uwagi na ogół stosują się do Indii. Ponadto nie ma widoków, aby jakakolwiek wielka potęga wojskowa powstała w Ameryce Południowej lub w Afryce.

Z tą chwilą, jedyne poważne zagrożenie międzynarodowego pokoju leży w możliwości tarć między samą Wielką Trójką. Trzeba brać trzeźwo pod uwagę, że proponowana światowa organizacja pokoju nie stanowi wystarczającego instrumentu, który mógłby zaradzić w podobnej sytuacji. Pod tym względem jest to podobne do gaśnic, jakiej używamy, by stłumić tacy się ogień, ale z której nic nam nie przyjdzie w razie poważnego pożaru.

Niewiele będzie momentów na międzynarodowej scenie powojennej świata o bardziej dramatycznym napięciu, niż przebieg stosunków między dwoma najpotężniejszymi mocarstwami kontynentalnymi, tj. W. Brytanią i St. Zjednoczonymi a Zw. Sowieckim.

Stany Zjednoczone wyjdą z tej wojny jako coś znacznie większego, niż jako główna potęga zachodniej półkuli. Dzięki mocy swego ogromnego wojskowego i przemysłowego wysiłku zyskają one prawo głosu przy załatwianiu spraw Europy i Azji.

Wolny od równoważącego wpływu potęgi wojskowej Niemiec i Japonii, Związek Sowiecki będzie dzierżył — w istocie dzierży już — wielką siłę i wpływ w Europie i w Azji. Interesy amerykańskie i sowieckie zetkną się w tuzinie punktów wszędzie tam, gdzie przed wojną spotykały się w tylko jednym. Możemy się ułożyć lub nie ułożyć ze Stalinem, ale nie możemy sobie pozwolić na ignorowanie jego i potężnego kraju, którego jest bezspornym dyktatorem.

II

Jest wiele znaków pomyślnie rokujących

o amerykańsko-sowieckich stosunkach. Obydwa kraje nigdy nie prowadziły ze sobą wojny. Oczywiście, jest to wynikiem geograficznego i fizycznego odosobnienia, odzwierciadła to jednak również brak poważnych sporów między obu państwami.

Rosja, nigdy nie będąc wielką potęgą morską, nie wywoływała poważnych obaw, jako możliwy napastnik amerykańskiego kontynentu. Niestety, wiek lotnictwa zbliżył do siebie narody bardziej skutecznie w wojnie niż w pokoju. Nieprzejścielne napady, które za życia poprzedniego pokolenia natknęłyby się na przeszkody przestrzeni i odległości, obecnie są już zupełnie możliwe. To, co niemożliwe jest dziś, może stać się możliwe za lat dwadzieścia lub trzydzieści. W każdym razie, ta część świata, gdzie Rosja i Ameryka najbardziej zbliżają się do siebie — poprzez wąską przestrzeń wodną, dzielącą Syberię Wschodnią od Alaski — szczególnie nie nadaje się do operacji wojskowych na szeroką skalę. Ani Ameryka, ani Rosja nie mają do siebie wzajemnie żadnych pretensji terytorialnych. Nie ma tam gorczy po utraceniu Alzacji i Lotaryngi, ani też obszarów granicznych z mieszaną ludnością.

Jeszcze jednym czynnikiem pokojowym jest brak zagadnienia „Lebensraum’u”. Obydwa kraje, z ich wielkimi przestrzeniami uprawnej ziemi i bogactwami naturalnymi, mogą spokojnie patrzeć w przyszłość i wiedzieć, że przyszłe pokolenia będą żyły na lepszej stopie życiowej dzięki skutecznemu wykorzystaniu tych bogactw. Ani jeden z tych krajów nie ma podstaw do obaw, że wzrost ludności przekroczy środki utrzymania.

Istnieje również możliwość wzajemnej korzystnej wymiany dóbr i handlu między dwoma krajami. Z pewnymi zastrzeżeniami, Stany Zjednoczone mogą patrzeć na Związek Sowiecki, jako na rynek wywozu i źródło pewnych kruszców i surowców. Z drugiej strony — Zw. Sowiecki może się spodziewać, że otrzyma od Stanów Zjednoczonych kredyty dla ułatwienia odbudowy wewnętrznej po zniszczeniu wojny.

Naród rosyjski prawdopodobnie nigdy nie był tak wysoko ceniony w Stanach Zjednoczonych, jak obecnie gdy pamięć o potędze jego czynów wojennych w walce z Niemcami Hitlera jest jeszcze zupełnie świeża. Nastawienie to dochodzi czasami do ekstrawagancji i jest wykorzystywane przez komunistów dla celów propagandowych, tym niemniej z pewnością nie ma w tej chwili wrogich uprzedzeń, które by przeszkodziły Amerykanom przejść więcej, niż połowę drogi, wiodącej do współpracy ze Związkiem Sowieckim nad rozumny program politycznej i gospodarczej odbudowy.

Gdy zaś obydwa kraje posiadają wspólny interes w utrzymaniu pokoju i porządku, wolno zgodzić się, aby różnice ich społecznych i gospodarczych systemów odeszły na dalszy plan.

Czas sprzyja po temu, by zapomnieć o urazach i podejrzeniach przeszłości o pretensjach i podejrzeniach rosyjskich z powodu interwencji Aliantów i polityki uspokajania, która doprowadziła do Monachium, o pretensjach i podejrzeniach Zachodu z powodu popierania przez Komintern ruchów wyrotowych, oraz o tej mieszaninie uspokajania i napastliwości, jaka wyraziła się w pakcie Stalina z Hitlerem w rozbiórce Polski, czy w ataku na Finlandię. Obie strony mogłyby z powodzeniem pozwolić sobie na zmazanie wszystkiego z tablicy i zacząć od nowa, zakładając, że uda się znaleźć zadowalniającą podstawę porozumienia i że nie dopuści się do tego, aby nowe niepokojące rozwiązania stały się nie do przeżycia.

Nie można utrzymywać stosunków z Rosją lub z jakimkolwiek innym krajem, stawiając im wymagania doskonałości. Musi zapanować kompromis i zasada „do ut des”.

Dobrze by było, gdybyśmy pamiętali, że nasza własna przeważająca potęga na tej półkuli również była nadużywana, że polityka „dobrego sąsiedztwa” jest wynikiem stosunkowo niedawnego rozwoju. Nazwy: Meksyk, Panama, Haiti, Nikaragua, przypominają Ameryce Łacińskiej niepokojące wspomnienia mniej lub więcej odległych czynów agresji, popełnianych kiedyś przez Stany Zjednoczone.

Kompromisy jednak nie mogą przybierać kształtu jednostronnych ustępstw. „Do ut des” musi polegać na wzajemności. Stosunki amerykańsko-angielskie nie mogą rozwijać się z powodzeniem, jeśli będzie się wymagało od nich doskonałości, ale nie mogą one również polegać na pobożnych życzeniach.

Wyliczyłem powyżej przychylnie oznaki dla amerykańsko-sowieckiej współpracy: brak wojen w przeszłości oraz niezafatwionych sporów terytorialnych między dwoma krajami, brak czynnika naporu ludności, poczucie wspólnego wysiłku wojennego. Można by było również dodać, że Rosjanie i Amerykanie, jako ludzie, dobrze ze sobą wychodzą, gdy im naprawdę wolno zachowywać się po prostu jak ludzkiem istotom, bez zbytejnej biurokracji, oficjalnej opieki i podejrzliwości.

III

Pomimo braku wojen w przeszłości, pretensji terytorialnych i nacisku ludności istnieją pewne przeszkody do amerykańsko-sowieckiego porozumienia. Nie zwracać na to uwagi byłoby strusią polityką. Twierdzić zaś, że przeszkody te nie istnieją, nie znaczy to bynajmniej oddawać usługi ani sprawie pokoju, ani prawdziwemu porozumieniu. Nie zaprzeczając bynajmniej wyrzutom i wzajemnym oskarżeniom z tytułu przeszłości, sądzę jednak, że będzie można „zrobić interes” ze Stalinem, „jeżeli w przyszłości spełnione zostaną z rozsądną konsekwencją, dobrą wiarą i dobrą wolą cztery warunki — cztery wielkie „j e ż e l i”, które rzucają cień na przebieg stosunków amerykańsko-sowieckich.

(1) Musi istnieć poszanowanie danego słowa i zastąpienie jednostronnych posunięć przez porozumienie w sprawach międzynarodowych. Zarówno Deklaracja moskiewska podpisana przez Mołotowa, Edena i Hullę z 30 października 1945 r., jak i deklaracja krymska z 12 lutego 1945 r. zawierają szczególne zapewnienia wspólnego działania przez trzy główne mocarstwa w krajach uwolnionych. Dotąd brak nawet pozorów wykonania tej obietnicy we wschodnich, środkowych i południowo-wschodnich krajach Europy, obecnie okupowanych przez armie sowieckie. Obserwatorzy aliancy są bądź całkowicie niewypuszczeni, bądź też przyjmowani mruklwie, z niesłychanymi ograniczeniami poruszania się i obserwacji.

W takich posunięciach, jak szybkie wypowiedzenie wojny Bułgarii, okupacja tego kraju, narzucenie nowego rządu Rumunii, stworzenie rządu w Austrii, rząd sowiecki działał nagle i w tajemnicy. Czyniąc wszystkie możliwe ustępstwa na rzecz konieczności wojskowych, stwierdzić jednakże należy, że utrzymywanie wyłącznej sfery wpływów w wielkiej części Europy, na wschód od linii Szczecin—Triest, zamieszkałej przez ludność liczącą ponad 100 milionów głów, niezgodne jest z serdecznością w amerykańsko-sowieckich stosunkach.

Wsuwany bywa czasem argument, że Związek Sowiecki chce mieć tylko „przyjazne” rzadzy wzdłuż swych zachodnich granic, tak samo, jak Ameryka chce przyjaznych sąsiadów w Ameryce Łacińskiej. Pozostawiając na stronie zagadnienie, czy sowieckie metody okupacyjne dałyby do przyjaźni, twierdzenie to pozwoli w przyszłości na uczciwe sprawdzenie, jaka jest wartość tego zestawienia: Czy Amerykanie będą mogli równie swobodnie jeździć, mieszkac i handlować w Polsce, Rumunii, Jugosławii, jak Rosjanie mogą jeździć,

mieszkac i handlować w Meksyku, w Brazylii i w Argentynie? Jeżeli próba ta się powiedzie i jeżeli kraje Europy Wschodniej będą mogły obierać rządy, na które mają ochotę, tak swobodnie jak państwa Ameryki Łacińskiej, wówczas zostanie zrobiony znaczny krok na drodze do nabrania ponownej wiary w słowo dawane przez Związek Sowiecki.

Najbardziej przekonywującą próbą w tym związku jest, oczywiście, traktowanie Polski, co stało się przedmiotem międzynarodowego porozumienia. Warunki, wyrażone w Deklaracji krymskiej, były bardzo przychylnie dla żądań Stalina i pozwalały Sowiетom zaanektować około 40 procent Polski przedwojennej, która miała by w zamian za to otrzymać wynagrodzenie w postaci ziem niemieckich na północy i na zachodzie.

Było trochę wykrętów co do dokładnego znaczenia formuły Jałty w sprawie nowego tymczasowego rządu jedności narodowej. W każdym razie nie można poważnie kwestionować istnienia w tym porozumieniu obietnicy „w o l n y c h, n i e s k r ę p o w a n y c h w y b o r ó w”, co Stalin, Churchill i Roosevelt podpisali i włączyli do układu. Bezwarunkowe zwolnienie wszystkich Polaków, aresztowanych lub zesłanych z powodów politycznych, byłoby pierwszym tego warunkiem. Powrót do Polski, z zapewnieniem nieprześladowania, wszystkich patriotycznych działaczy z zagranicy, wojska polskiego i jeńców wojennych, byłby drugim. Pozostałe warunki polegałyby na wprowadzeniu wolności prasy, agitacji, partii politycznych i swobodnym dostępie dla dyptomatów, korespondentów zagranicznych i działaczy opieki społecznej.

(2) Wzajemne poznanie się jest warunkiem zrozumienia między narodami tak samo, jak między jednostkami. Porozumienia formalne między rządami Ameryki i Rosji nie są wystarczające. Amerykanie i Rosjanie winni się poznać jako prywatni ludzie. Sprawa ta była podkreślana w ostatnim oświadczeniu grupy profesorów uniwersytetu w Yale na łamach „New York Times”. Wysunęli oni pewne celowe propozycje, takie, jak: wymiana profesorów i studentów, poprawa w dziedzinie wartości i częstotliwości korespondencji, bardziej wyczerpujące studiowanie rosyjskiego języka, kultury, instytucji itd.

Pierwszym warunkiem lepszego poznania się jest swoboda nawiązywania stosunków, swoboda podróżowania i korespondencji. Nie ma wątpliwości, że obydwa kraje grzeszyły, stawiając bariery przeciwko tym swobodom w przeszłości, jednakże bariery sowieckie są znacznie wyższe, niż amerykańskie.

Przed wojną korespondent sowiecki w Ameryce mógł rozmawiać z kim chciał, jeździć dokąd chciał, pisać jak chciał. Korespondent amerykański w Moskwie, zarówno w czasie pokoju, jak wojny, musiał oddawać korespondencję do cenzury. Stykanie się jego z Rosjanami było surowo ograniczane. Znajomość bez pozwolenia z cudzoziemcem niezgodna była z prawem administracyjnego aresztowania i zesłania. Trzeba było mieć specjalne zezwolenie na podróżowanie. Istniała poważna różnica między swobodą przyznawaną korespondentom sowieckim w amerykańskiej i brytyjskiej strefie wojkowej, i częstym usuwaniem zachodnich korespondentów z terytoriów okupowanych przez Sowietów.

To samo stanowisko urzędowej podejrzliwości i ograniczeń utrudniało Amerykanom wszystkich zawodów i zatrudnień podróżowanie i studiowania Rosji. Stało to na przeszłość zaprzyjaźnieniu się z Rosjanami, które by tak bardzo pomogło do rozwiania nieuzasadnionych podejrzeń i nieporozumień. Jak powiedział Sir Bernard Pares, weteran angielskich znawców Rosji:

„Bezużyteczne jest, aby urzędowe sfery rosyjskie skarżyły się, iż Związek Sowiecki jest tak bardzo źle rozumiany na świecie, jeżeli nie możemy uzyskać pierwszego warunku poznania i rozumienia Rosji”.

Przyjmijmy, że troska o bezpieczeństwo państwa i konieczności wojskowe podyktowały Rosjanom postawę nadzwyczajnej tajemniczości. Pamiętamy jednak na przyszłość, że „robiecie interes ze Stalinem” na wzajemnie zadowalniającą podstawie będzie nieskończenie łatwiejsze, jeżeli zniesiona zostanie w obu krajach za wzajemnym porozumieniem cenzura dla korespondentów pism, jeżeli Amerykanie będą mogli przyjeżdżać do Rosji i Rosjanie do Ameryki tak łatwo, jak my się odwiedzamy z naszymi kanadyjskimi i meksykańskimi sąsiadami.

(3) Ameryka i Rosja muszą korzystać ze swego olbrzymiego potencjału sprawiedliwie i umiarkowanie. Nie może istnieć bezpośrednia lub pośrednia agresja, skierowana przeciwko niepodległości małych i słabszych sąsiadów. Oznacza to dla Ameryki niestwarzanie marionetkowych reżimów, popieranych przez broń amerykańską. Oznacza to dla Rosji nienarządzanie przylegającym krajom z czynną pomocą czerwonej armii i policji politycznej rządów opanowanych przez komunistów.

Tu raz jeszcze (z wyjątkiem Polski i państw bałtyckich) posunięcia sowieckie w dawnych wrogich państwach mogą być łatwo przypisane względem wojskowemu. Ale obecnie wojna w Europie minęła. Obecnie ludzie, którzy są nie tylko komunistami, ale powszechnie znanymi agentami — weteranami

(Dokończenie na stronie 8-ej)

GENERAL WŁ. ANDERS W PALESTYNIE

W dniach 20 i 21 września rb. odwiedził Palestynę generał Władysław Anders, dowódca II Korpusu, wstawionego kampanią włoską.

Spoleczeństwo polskie dało gorący wyraz swej radości z ponownego spotkania ze Zwycięzcą spod Monte Cassino, którego osoba stała się symbolem tryumfu polskiego oręża i cnót wojennych, jakie potrafił On doprowadzić do pełnego blasku w powierzonych sobie oddziałach.

W chwili, gdy sztandary naszej armii niosą poprzez obce kraje obraz Majestatu Rzeczypospolitej, szczerza żołnierska postać Generała przypomina wszystkim o dzielności, odwadze i wytrwałości szeregow, zawsze wiernych swemu najwyższemu prawu — Konstytucji Rzplitej, posłusznych swym Najwyższym Zwierzchnikom — Prezydentowi R.P. i Naczelnemu Wodzowi, nie szczędzących nigdy swej krwi i sił w boju o „wolność naszą i waszą”.

Swą wizytą generał Anders dał nam sposobność podkreślenia raz jeszcze serdecznego związku między społeczeństwem cywilnym a wojskiem, w którym skupia się dominująca większość emigracji wraz z całym m ł o d y m p o k o l e n i e m, dążącym ku Polsce nieuszczerplonej, niepodległej i sprawiedliwej, gwarantującej prawdziwą wolność swym obywatelom.

Podczas pobytu w Palestynie gen. Anders przeprowadził inspekcję szkół znajdujących się pod opieką wojska, złożył wizyty urzędowe i przyjął delegacje miejscowego społeczeństwa. Jedną z nich wręczyła Generalowi komplet ostatnich numerów dwutygodnika „W DRODZE”.

TADEUSZ BOROWICZ

NIEMCY A POKÓJ EUROPEJSKIEGO

(Artykuł dyskusyjny)

W dalszym ciągu dyskusji, rozpoczętej artykułem Zbigniewa Grabowskiego pt. „Co zrobić z Niemcami”, zamieszczamy artykuł nadesłany nam z miejscowych sfer Stronnictwa Narodowego.

Redakcja „W Drodze”, pozostawiając poszczególnym autorom pełną swobodę wypowiedzi swych poglądów w toczącej się dyskusji, nie zawsze podziela wszystkie ich przekonania.

I

Odpowiedź na pytanie: Co zrobić z Niemcami, zaczyna Zbigniew Grabowski od stwierdzenia, że pytanie to brzmiąco do niedawna zbyt optymistycznie; że nie wiadomo dotąd, czy Niemcy zostaną pobite tak całkowicie i tak gruntownie, że będzie można z nimi uczynić wszystko, co zechcą. Sprzymierzeni. Nie wiadomo również, czy Niemcy po swym pogromie nie rozpoczną walki podziemnej z siłami okupacyjnymi, wreszcie — czy rozbieżności sojuszniczej polityki nie dopomogą pokonaniu militarnemu Niemcom do tego, by dźwignęły się one politycznie i by, jak bankrut stawiający po klęsce na inne papiery, nie próbowały raz jeszcze szczęścia swych światoburczych planów.

Wydać się, że do postawionego na początku pytania należało by dzisiaj podchodzić nieco inaczej. Wprawdzie Niemcy są dziś całkowicie pokonani wojskowo, natomiast mimo tej klęski Sprzymierzeni — w rozumieniu oczywiście Zachodu, gdyż wyliczanie tam mówić można o sojuszu politycznym, a nie tylko wojskowym — nie mają możliwości uczynienia z Niemcami wszystkiego, co zechcą, przede wszystkim dlatego, że nie sprawują władzy na całym obszarze Niemiec, a następnie dlatego, że nawet na ich obszarze władania działają siły obce, o całkowicie odmiennych intencjach politycznych i krańcowo różnych planach w stosunku do całych Niemiec i całej nawet Europy.

Stoimy wobec faktu jednej z największych klęsk niemieckich w historii. Zarazem jednak między zwycięzcami nie ma prawie w żadnym wypadku zgody co do tego, jak postępować z pobitym napastnikiem. Różniący się w opiniach zwycięzcy władają różnymi częściami Rzeszy niemieckiej i na pytanie o przyszły los Niemiec dają wręcz przeciwnie odpowiedzi w swych strefach okupacyjnych. Toteż z Niemcami można by postępować właściwie dopiero wówczas, gdyby znalazły się one pod władzą państw jednakowo rozumiejących cele wojny przeciwnieckiej i jednakowo pojmujących te pojęcia, wartości i ideały, o które do walki stanęły zgodnie przeciw Niemcom narody europejskie. Zależność Niemiec od różnych systemów okupacyjnych oddala możliwość jednolitego rozstrzygnięcia zagadnienia niemieckiego, różnice zaś na poszczególnych obszarach nie tylko się nie wyrównują, lecz raczej pogłębiają z dnia na dzień. Nie jest to okoliczność przybliżająca chwilę, kiedy Niemcy zostaną sprowadzone w Europie do właściwej miary i kiedy pokój Europy nie będzie narażany na niebezpieczeństwo przez zagadnienie niemieckie.

II

Pierwszym białym wojny przeciw Niemcom było fałszywe ujęcie jej treści. Dopóki mówiono wyłącznie o wojnie przeciw hitleryzmowi, dopóki kwestię walki przeciw imperializmowi, od dziesięciu wieków przyświecającemu wielkiemu narodowi europejskiemu, sprowadzano do sprawy systemu hitlerowskiego — dopóty treść wojny antyniemieckiej nie była w pełni rozumiana przez uczestników koalicji i zawsze istniało niebezpieczeństwo, że następstwa fałszywego pojmowania istoty wojny zaciągały fatalnie na traktowaniu pokonanego przeciwnika.

Ten błąd został, zdaje się, z czasem wykorzeniony zarówno przez brak objawów jakiegokolwiek poważnej opozycji antyhitlerowskiej w Niemczech, jak i ostatecznie przez odsłonięcie świata potwornego obrazu niemieckich kaźni. Ale i dziś jeszcze niepoprawni marzyciele nie chcą winić narodu niemieckiego za wszystko, co się przez Niemcy stało w Europie. Grabowski w pewnej mierze oddaje się zbliżonym iluzjom, twierdząc, że gdyby nie było w Niemczech oporu, nie powstałyby „K.Z.” (skrót niemiecki oznaczający obozy koncentracyjne) i nie było by tam ludzi więzionych, torturowanych i gnębionych.

Że byli tacy, wiemy wszyscy, to prawda. Ale czy na podstawie tego można twierdzić, że naród niemiecki nie solidaryzował się z hitleryzmem? Nie było widać w Niemczech owych dziesięciu sprawiedliwych z Sodomy, skoro nigdy nie potrafili się skutecznie przeciwstawić systemowi hitlerowskiemu. Może ów system nie wszystkim Niemcom odpowiadał, ale wolno sądzić, że przemawiał do najistotniejszych składników natury niemieckiej wówczas, kiedy prowadził do zaborczych wojen, do podbijania innych narodów, do panowania Herrenvolku i pozwalał wyżywać się tym odwiecznym instynktem, o których wspominał już Tacyt, pisząc o germańskich plemionach. Dlatego też obecnie Niemcy nie mają normalnego życia politycznego nie tylko z tego powodu, iż Rzesza hitlerowska łamała wszelką opozycję, ale również i dla tej przyczyny, że opozycji, jeśli chodzi o wojenne cele niemieckie, właściwie nie było.

Wstrząs klęski jest dla narodu niemieckiego tak wielki, że chwilowo Niemcy nie będą przez pewien czas zdolni do normalnej działalności. Prawdopodobnie najszybciej powróci niemiecka aktywność w części wschodniej, gdzie Rosja może chętnie dopomóc w odbudowie życia politycznego, na nowych oczywiście zasadach. Wydaje się natomiast, że na Zachodzie nie powstają żadne niemieckie siły polityczne, zdolne przeciwstawić się tendencjom komunistycznym szerzonym we wschodniej połaci Niemiec.

Niedawne zezwolenie na działalność czterech partii niemieckich w angielskiej i amerykańskiej strefie okupacyjnej prowadzi w praktyce do zrealizowania propagandy niemieckich komunistów również i na Zachodzie, podczas gdy na Wschodzie są oni wyłącznym ruchem politycznym, popieranym przez okupantów. Różnorakie nazwy niemieckich partii politycznych, jakim zezwolono pracować na terenie okupacji sowieckiej, nie zmieniają faktu, podobnie jak to się dzieje w wielu innych krajach europejskich, iż posiadają one prawie wszystkie to samo zabarwienie „demokratyczne” koloru czerwonego. Na obszarze od Odry aż do zachodniej granicy sowieckiej strefy okupacyjnej „demokracja” ta wychwuje przyszłych polityków niemieckich. Ponieważ zaś Rosja zajęła ostatnio Saksonię, Anhalt i Turynię, przeto wysunięte strażnice nowego niemieckiego kierunku politycznego znajdują się w odległości zaledwie stu kilometrów od Renu.

III

Pokój Europy zależy w dużej mierze od przyszłości Niemiec, która wszakże nie znajduje się dziś wyłącznie w rękach sojuszników zachodnich. Większa część Niemiec jest w innych rękach. Dopóki całe Niemcy nie wejdą w zasięg wpływów angielsko-amerykańskich, dopóty dysputa nad ich przyszłością, a zatem i nad pokojem Europy, będzie pozabawiona jednej skromnej rzeczy, mianowicie możliwości zrealizowania zamierzeń państw zachodnich. Dziś więc za wcześnie jeszcze, by przystępować do urządzania pobitych Niemiec. Można je będzie urządzać dopiero wówczas, gdy w całej Europie powrócą warunki, od których zależy sprawiedliwość porządku powojennego. Bez tych możliwości, choćbyśmy wiedzieli jak najlepiej, co z Niemcami należy zrobić, zrobić tego nie potrafimy, mimo iż ze strony samych Niemców nie będziemy już pod tym względem natrafiać na przeszkody.

Pokój Europy zawisł w tej chwili także od tego, czy powojenne Niemcy będzie można urządzić w interesie Europy, czy też — wbrew Europie. Wskutek tego, zwycięstwo nad Niemcami nie jest pełne, choć pełna była niemiecka klęska.

IV

Mimo wszystko, należy sobie zdawać sprawę z zasad, które winny kierować postępowaniem z pokonanymi Niemcami. Zasadami tymi są: zmniejszenie terytorium, odprzemysłowienie, otoczenie Niemiec łańcuchem państw, zdolnych do odparcia ich przyszłej napaści.

Zmniejszenie niemieckiego obszaru państwowego, choć niewątpliwie uciążliwe dla tego licznego narodu, nie przeszkodzi mu jednak w rozwoju. Gęstość zaludnienia Niemiec, jedna z największych w Europie przed wojną, nie stanie się katastrofalną mimo zmniejszonego obszaru, ponieważ Niemcy poniosły kilkumilionowe straty. Rdzeń ziem germańskich pozostanie przy Rzeszy, która ze swą granicą wschodnią na Odrze i Nissie łuskiej, południową — na północ od Sudetów i Austrii, oraz zachodnią bez Alzacji i Lotaryngii, będzie mogła utrzymać względny dobrobyt i stopę życiową nie wyższą oczywiście, niż stopa życiowa jej sąsiadów. Spadek urodzin, obserwowany w Niemczech

przed wojną, nieznacznie tylko zahamowany mimo premii i wydatnej pomocy rządu hitlerowskiego dla licznych rodzin, pozwala przypuszczać, że tym bardziej po przegranej wojnie Niemcy nie będą się musiały dusić w ciasnocie obszaru. Rozrodczość zaś narodów słowiańskich na wschodzie Niemiec wyrówna stosunkowo szybko ludność Rzeszy w stosunku do ludności nawet samej Polski.

Pokojowi Europy zmniejszenie terytorium niemieckiego nie będzie zagrażało. Pokojowi temu grozić może coś zupełnie innego. Jeżeli Niemcy podejmą ponowną próbę burzenia Europy, to nie dlatego, iż terytorium ich będzie mniejsze niż poprzednio, lecz dlatego, że najbardziej narodowe niemieckie pragnienia, zamiast ulec zniszczeniu, znajdą sobie w świecie inną drogę realizacji.

Na ziemiach na wschód od Odry i Nissy nie zagraża pokojowi oddanie tych obszarów Polsce, ale przeciwstawianie na nich Polakom — niemieckich komunistów. W tym tkwi zarzewie wojny, a nie w obcięciu terytorium niemieckiego. Odkłócenie Prus Wschodnich służyć będzie pokojowi, usuwając dawne spory o polskie Pomorze, nazywane przez Niemców „korytarzem”. W zmienionych warunkach nie powstanie już zatarg o Gdańsk i nie będzie można w tych sprawach już nigdy rozpoznać niemieckiego wymarszu do panowania nad światem.

Niemcy nauczyli Europejczyków dość dokładnie, jak można wiele milionów ludności przesiedlać na odległe tereny. Poza Niemcami potrafią to robić również dobrze chyba tylko Rosjanie. Wolne od kłopotów z mniejszością niemiecką w Polsce, w Sudetach, w Czechosłowacji, w Alzacji i Lotaryngii — gdzie mniejszości te nie będą już więcej „uciskane”, ponieważ ich nigdzie nie będzie, dzięki zastosowaniu niemieckiej metody przesiedlania — Niemcy będą się mogli poświęcić pokojowej pracy na własnej ziemi. Zapewne zaś wobec powszechnych uczuć, jakie jeszcze długo narody Europy będą po tej wojnie żywić wobec Niemców, sami oni zapragną zamieszkać w swej ojczyźnie, wśród swoich. Nie należy im w tym przeszkadzać.

V

Odprzemysłowienie Niemiec powojennych jest drugim z kolei postulatem.

Na szale tej wojny rzuciły Niemcy cały dorobek co najmniej swych trzech pokoleń. Wszystkie osiągnięcia techniczne służyły u Niemców celom wojennym i przede wszystkim dzięki temu mogli Niemcy prowadzić wojnę tak długo i tak zacięcie, łącząc to z niesłychaną ruiną wszystkich krajów europejskich. Rozmiary obecnej klęski Niemiec, bez względu na wszystkie inne jej następstwa, umożliwiają usunięcie przemysłowej zdolności Niemiec do prowadzenia wojny zaborczej. Zwycięzcy są dziś w stanie cofnąć Niemcy o kilkadziesiąt lat w ich rozwoju przemysłowym, co, choć stosunkowo niewiele obniży stopę życiową niemieckiej ludności, zahamuje na długo wszelkie plany militarne.

Wymaga to jednak stanowczej decyzji. Nie mogą i nie powinni w niej grać roli kupieckie pragnienia robienia dobrych interesów handlowych z Niemcami, gdyż Niemcy przynajmniej w okresie między dwiema wojnami światowymi handlowali z obcymi intensywnie i dla tych ostatnich chwilowo korzystnie, ale tak, by przygotować zarazem techniczną machinę nowoczesnej wojny, która później za jednym zamachem zniszczyła wszystkie resztki drugiej strony.

Tutaj odprzemysłowienie Niemiec wiąże się ściśle ze zmniejszeniem niemieckiego terytorium państwowego, gdyż Rzesza pozbawiona Śląska i z Zagłębiem Ruhry bądź to okupowanym przez Francuzów, bądź też w najlepszym razie leżącym tuż nad granicą francuską, nie będzie zdolna w tych granicach wyprodukować dostatecznej ilości sprzętu dla wywołania nowej wojny. Odprzemysłowienie Niemiec winno być zasadą trwałą, bez wzglę-

du na długość okresu okupacyjnego i alianckiej kontroli. Powojenne Niemcy powinny stać się państwem skazanym na import towarów przemysłowych, co oczywiście będzie musiało się łączyć z przestawieniem wewnętrznej gospodarki niemieckiej i z rozszerzeniem produkcji rolnej.

Wywiezienie z Rzeszy, tytułem odszkodowań, znacznej części urządzeń przemysłowych, jakie pozostały nieuszkodzone mimo intensywnego bombardowania, rozszerzy jeszcze stopień zrealizowania wysuniętego postulatu. W sumie — zniszczenia wojenne wraz z reparacjami dość znacznie obniżą stan niemieckiego przemysłu.

Równoległe z odprzemysłowieniem Niemiec powinno pójść konsekwentne uprzemysławianie sąsiadów niemieckich i podnoszenie ich stopy życiowej kosztem Niemiec. Na koniec, nabywanie przez Niemców wyrobów przemysłowych zmusi ich do intensywniej pracy na roli, co nie będzie już mogło być przygotowywaniem nowej wojny.

VI

By Niemcy w przyszłości przestały być powodem wojen, trzeba wreszcie, by zostały osaczone, by tak właśnie, jak się na to skarżyły w roku 1939, były okrażone przez łańcuch państw dostatecznie silnych dla odparcia każdej ewentualnej niemieckiej napaści. Jest to już zagadnienie wykraczające poza problem wewnętrznej organizacji Niemiec, jakkolwiek bardzo dla niego istotne. Wiąże się ono z całą koncepcją budowy powojennej Europy i tylko w ramach tej koncepcji może być rozważane i rozwiązywane.

Łańcuch, mający spętać Niemcy, powinien składać się z dwóch zasadniczych ogniw, z których wschodnie, z Polską na czele, byłoby równocześnie ośrodkiem systemu bałtycko-czarnomorsko-egipskiego, składającego się z państw bałtyckich, Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii i Grecji. Polska wraz z Litwą byłaby w tym systemie 40-milionową przeciwwagą 60-milionowej Rzeszy, a wraz z Czechosłowacją równałaby się prawie ludnościowej sile Niemiec, mając przy tym dobre strategiczne granice. „Central Union” G. Harrisona byłaby w tym wypadku dostateczną gwarancją pokoju z Niemcami na jej granicy wschodniej. Ogniwu zachodnie stanowiłaby Francja, sprzymierzona z Wielką Brytanią.

Wszystko to jednakże są sprawy, o których zrealizowaniu trudno mówić przy obecnym stanie rzeczy w Europie, podobnie jak nie można mówić o jednolitej polityce wobec Rzeszy ze strony mocarstw okupujących jej terytorium. Wojna z Niemcami jest skończona, nie skończona jest jednak walka o oblicze przyszłych Niemiec, podobnie jak niewiadome jest w tej chwili oblicze przyszłej Europy, powstającej na gruzach blisko 6-letnich zniszczeń.

Wspólnie pokonawszy nieprzyjaciela, główni uczestnicy antyniemieckiej koalicji walczą obecnie odrębnie o duszę niemieckiego narodu, do którego Zachód idzie z demokracją, a Wschód z komunizmem. Rozczarowanym i zniechęconym Niemcom, narodowi zresztą mało europeizowanemu mimo jego położenia geograficznego i zawsze w swych dziejach buntującemu się przeciw europejskiej cywilizacji, niewiele dziś będzie przemawiać do przekonania demokracja, czyli zachodnio-europejski styl życia. Wolno się obawiać, że raczej komunizm będzie zdolny pociągnąć Niemców, stawiając przed nimi ponownie wizję panowania, lub choćby współpanowania nad światem. Tym gorzej, że komunizm, panując niepodzielnie na wschodzie Rzeszy, przenika coraz silniej na obszary Rzeszy zachodniej, dysponując zarazem silnymi ośrodkami politycznymi we Francji, w Belgii i we Włoszech.

VII

By z Niemcami zrobić to, co z nimi zrobić należy, to znaczy, by spełnić trzy główne postulaty: okrojenie terytorium niemieckiego, odprzemysłowienie, otoczenie kordonem silnych państw, trzeba przede wszystkim — jak słusznie stwierdza Grabowski — jednoci celów pomiędzy zwycięzcami, następnie zaś, by owa jedność nie ograniczała się do samego zagadnienia niemieckiego, ale dotyczyła również przynajmniej zasadniczych zagadnień europejskich i światowych. Ponieważ jednoci tej nie ma, mimo zakończenia obu wielkich wojen: europejskiej i daleko-wschodniej, przeto niewiele można dziś praktycznie uczynić w sprawie niemieckiej. Pokojowi Europy zagraża zresztą nie tylko zagadnienie niemieckie.

Tym niemniej wysunięte wyżej postulaty ułatwiłyby przekształcenie Niemiec w państwo, które, choć zaborcze z ducha swej historii i właściwości swego narodu, nie będzie jednak w stanie sprowadzać na nasz kontynent coraz to nowych, coraz okrutniejszych i straszniejszych wojen. Należy pragnąć, by jak najrychlej zapanowały w Europie takie stosunki, które umożliwiłyby jednolite potraktowanie Niemców w myśl wspomnianych zasad. Tylko ich przeprowadzenie potrafi nakreślić właściwe ramy niemieckiej perspektywy powojennej, pozostawiając Rzeszy możliwości życia, ale wyłączać ewentualność nowej agresji.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

„W DRODZE”

ukazą się m. inn. utwory i artykuły następujących autorów:

Sir ERIC PHIPPS: Francja i W. Brytania
Stanisław BALIŃSKI: Krok w nieskończoność
Wacław GRUBIŃSKI: O Karolu Irzykowskim
Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI: „Gdy dwóch mówi to samo...”
Porucznik HERBERT: Na afrykańskim szlaku
Jan KARSKI: Śmierć Zygielbojma
Arthur KOESTLER: O niewierze w okrucieństwo
Mieczysław ŁOJEWSKI: Groźba „niepotrzebnych ludzi”
Charles MORGAN: „Szary człowiek” w polityce
Karol ZBYŚZEWSKI: Udały skok
Teresa ŻUKOWSKA: Wspomnienia o Sienkiewiczach
oraz wiersze

B. KOBRZYŃSKIEGO, M. PAWLIKOWSKIEJ, K. WIERZYŃSKIEGO, T. WITLIŃA,
J. ŻYWINY i przekłady Z. Broncia z LONGFELLOWA.

Ponadto numer przyniesie korespondencje z Londynu, dział „Polonica w książkach angielskich”, przegląd prasy obcej i polską kronikę kulturalną.

Poniżej drukujemy w nieznacznym skrócie dalszy rozdział z głosić książki Jana Karskiego „Story of a Secret State”, która ukazała się w Londynie nakładem Hodder & Stoughton i w Bostonie (USA) nakładem Houghton Mifflin Co.

W następnym numerze „W Drożdze” ogłosimy relacje Karskiego z wstrząsającymi rozmowami, jakie przeprowadził z wysłannikami żydowskiego Ruchu Podziemnego w ghecie warszawskim i o której następnie opowiadał Żygiełbajmowi na krótko przed jego bohaterką śmiercią. (Por. „W Drożdże” Nr. 15 (57) i Nr. 14 (56)).

W BREW ogólnemu mniemaniu okupacja niemiecka nie działała skutecznie, przynajmniej pod względem policyjnym. Rozszerza nie się ruch podziemnego, nie tylko w Polsce, lecz i w innych krajach okupowanych, jasno wykazywało, że policja niemiecka jest bezsilna w walce z wroczym podziemnym duchem oporu. Wiedzieliśmy w Polsce, że Gestapo było bardzo przecenianą instytucją. Oczywiście, że nie wolno było Gestapo bagatelizować lub lekceważyć, ale swoje wyniki zawdzięczało ono tylko brutalności, nieludzkim metodom i przeważnie zasięgu oraz sily. Policja niemiecka, której daleko było do przebiegłości i złoćności, składała się głównie z ludzi głupich, nieokrzesanych, prostaków, sadystów i przestępców. Według naszych obliczeń Gestapo posiadało w samej Polsce ponad sześćdziesiąt tysięcy agentów, wspieranych nadto przez potężną armię. Mimo tego nigdy nie zdołało rozbić starannej organizacji Ruchu Podziemnego, jakimś stanowił i nigdy prawie nie przedario się do jej władz centralnych.

Umiąto jednak przeciwdziałać zamierzonom Ruchu Podziemnego i do pewnego stopnia osłabiać jego ducha. Najbardziej znaną z tych metod była zasada odpowiedzialności zbiorowej. Pociągano to za sobą rzec setek niewinnych mężczyzn i kobiet za każdy czyn, wznawiając lub oporu. Prowadzenie roboty, wobec stosowania przez Niemców tak bezwzględnych i bezdusznego okrutnych środków, wymagało strasliwego wysiłku walki, aby pokonać rozdzierającą serce świadomość, że każde nasze wystąpienie pociągnie za sobą mordowanie ludzi, którychśmy znali i kochali.

Niewiarogodnej tej podłości nigdy Niemcom nie zapomniamy i nie przebaczymy. Dzieci będzie się uczyły, aby zapamiętać tę niebiańską zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Gdy tylko rozwiążą się nasze ręce, schwyćmy wszelką okazję, skorzystamy z każdej sposobności, aby odpłacić mordercom, huliganom, zwierzgrom i sadystom z Gestapo za wszystko, co zrobili nam i bezdusznemu narodowi żydowskiemu. To dopory nie zapamiętajmy sprawiedliwości na świecie, póki ta banda zbrodniaków nie zapłaci za swe czyny wobec ludzi, którzy cierpieli ich zbrodnie.

Zasada odpowiedzialności zbiorowej jeszcze ciężiej legła na wsiah, niż na miastach. Przywódcy w mieście nigdy dokładnie nie wiedzieli, kto uciepni z powodu ich działań. Jeżeli na przykład zastrzelono agenta Gestapo, mogli oni się spodziewać, że rozstrzelany będzie co pięty, lub szósty człowiek w danym więzieniu lub dzielnicy. Ale przeważnie nie wiadomo, kto mianowicie będzie rozstrzelany i komu wypadnie ponieść odpowiedzialność. Na prowincji Niemcy jeszcze bardziej zezaleli. W każdej wsi i w każdym małym miasteczku wywiszono listę nazwisk. Były to nazwiska wybitniejszych obywateli, których funkcjonariusze niemieccy wybierali jako „dyżurnych” na okres trzech lub czterech miesięcy, gotowych do poniesienia „odpowiedzialności zbiorowej”.

Był to często przyjaciele, żony, krewni i rodziny wielu ludzi z oddziałów Ruchu Podziemnego, które działały w okolicach właśnie tego miasta lub wsi. Ludzie wsi, którzy nie wiedzieli, że za każdy akt terrorystyczny będzie powieszona pewna ilość zakładników. Nie było innego wyboru. Akty Ruchu Podziemnego po prostu musiały być wykonywane. Ostatecznie wydano rozkaz regulujący obowiązki organizacji na prowincji w ten sposób, aby akty terrorystyczne w danej miejscowości były wykonywane przez członków ruchu z jakiegokolwiek innego okręgu.

Niezależnie były metody, stosowane przez Niemców, aby udoskonalić wymuszanie od ludności produktów rolnych. Chłopi brali się na liczne sposoby. Chodziło o to, aby Niemców okpić, stosując chytre pomysły pozwalające na zachowanie żywności dla siebie lub też na oddawanie im najgorszych produktów, bądź wreszcie o niszczenie tego, czego nie można było uratować.

W drugiej jednak połowie 1942 r. na wieś zważył się nowy, przegrybiący cios. Niemcy wydali rozporządzenie zakazujące zawierania małżeństw bez pozwolenia władz. Prawie we wszystkich wypadkach odmawiano pozwolenia pod pozorem, że dana para nie odpowiada programowi „podniesienia rasowego poziomu narodu polskiego”. W uzasadnieniu tego bezprzykładnego ukazu wydano rozporządzenie, stanowiące, że wszystkie nieślubne dzieci mogły być „skonfiskowane” przez władze i zesłane do sierocinicy w Rzeszy.

Gdy wskutek pierwszego rozporządzenia ludzie po wsiah zaczęli zawierać tajne małżeństwa, w grę zaczęła wchodzić druga nakaza. Dzieci, które rodziły się tym nieszczęśliwom, były niezmiennie porwane wprost z objęć rodziców. Matki często próbowały przenosić

swe niemowlęta do innych wsi, gdzie można było je ukryć. Rzadko to się udawało. Gestapo używało różnych sposobów, aby wysłedzić matkę wyrwać jej dziecko, jak szczenię. W ten sposób tysiące dzieci polskich zginęło bezpowrotnie dla swych rodziców. Nikt nie wie nawet dokładnie, co się z nimi stało.

Wydane przez Str. Ludowe „Dziesięciopro Przekazani” Ruchu Podziemnego stało się chlebem powszednim w umysłach i w sercach uciśkanego ludu. Prasa podziemna je wydrukowała. Rozrzucono je, jako ulotki. Chłopi je odpisywali. Dzieci uczyły się ich na pamięć. Były to, oczywiście, nie przykazania, lecz praktyczne wskazówki dotyczące codziennego życia chłopów i codziennej ich walki z okupantem.

1. Walcz nieugięcie o niepodległość Polski.
2. Nie bacząc na przesładowania, zakładaj organizację we wsi dla dodawania otuchy słabym i miarkowania popędliwych, aż przyjdzie czas. Organizacja winna być jak potężne wojsko. Wina podlegować, ale nie stale osłabiać krwawe rządy Niemców oraz obalić je we właściwej chwili.
3. Zakładaj organizację tak, aby była zdolna powołać do życia Polskę ludową z chłopem u jej podstawy. Połk i kłosaż z branych i dyktatury. Polskę demokratyczną i szanującą prawo, z swobodnie wybranym sejmem i rządem powołanym d rządu przez lud.
4. Domagaj się sprawiedliwej poprawy społecznej, ziemi dla chłopu, pracy dla każdego, gospodarki kraju opartej na spółdzielniach, upaństwowienia kopalń i zakładów przemysłowych.
5. Staraj się krwawo uciec, bo jest zwycięzcom. Uderzmy najcięższą rekwizycję. Dostarcz żywności głodującym braciom w miastach. Jako dobry chrześcijanin nie pozwalaj na wyzyskiwanie twych braci.
6. Bądź nieustraszoną, przebiegłą i nadržą, gdy będziesz miał do czynienia z niemieckimi. Bądź wierny organizacji, dotrzymaj słowa, zachowuj tajemnice organizacji, broń godności narodu.
7. Bądź niemiłosierny dla zdrajców i prowokatorów. Pięć lat służby w służbach zbrodni i zdrady wymaga stosunków z wrogiem. Powstrzymuj się od gadulstwa i ciekawości.
8. Wybieraj na kierowników ludzi mocznych, potężnych, wypróbowanych, szlachetnych i gotowych do poświęceń. Nie daj się zdemoralizować wojnie.
9. Bądź nieublagany i domagaj się najsurowszej kary dla Niemców za ich zdradę, za ich drapieżność, za ich ducha napastliwej wojny. Żadaj, aby byli straceni z powierzchni ziemi.
10. Wierź! Mów sąsiadom, że choć wojna może być długa i może wymagać strasliwych poświęceń, dzień ostatecznego zwycięstwa, prawdy i sprawiedliwości jest blisko. Wierź! Wierź, że Polska niepodległa i demokratyczna na nowo powstanie.

Robota Ruchu Podziemnego na wsi wykazywała szczególne, swoiste znamiona okrucieństwa i pomyślowości. W istocie, w poczuć rozpaczy i krzywdy, stosowaliśmy przeciwko barbarzyńskim metodom Niemców sposoby, których niemal wstydziliśmy się, lecz mimo to posługiwaliśmy się nimi jako jedynie słuszną odpowiedzią na przeraźliwe wytipanie naszego społeczeństwa. W wielu wypadkach, na przykład, używaliśmy strzeczeli, aby urządzić schadzki niemieckich oficerów z prostytutkami, o których wiedziliśmy, że są chore wenerycznie. Pozwalaliśmy wielu przestępcom, uwolnionym w 1939 roku z więzień, na podjęcie swych byłych zajęć: kradzieży i morderstw, z zastrzeżeniem, aby ograniczyć swą działalność do Niemców. Nasze władze miały ich nazwiska, opis działalności i dane osobiste, aby odyskać nad nimi kontrolę po wojnie. Oczywiście, obiecano im, że wyroki będą mieli zmniejszone, odpowiednio do powodów operacji przeciwko Niemcom.

Charakterystyczne jest dla natężenia zbiorowej nienawiści do Niemców, że ani jeden z tych przestępców nie popełnił jakiegokolwiek występuku przeciwko Polakowi i że wielu z nich można było zawierzyć wykonanie tej czy innej bardzo trudnej roboty, której wymagała działalność podziemna.

Ludzie, którzy nie znajdowali się pod niemieckim panowaniem, nigdy nie potrafia zgłębić miary tej nienawiści i z trudem tylko będa mogli zrozumieć, że wszelkie prawo moralne, obowiązki czy hamowanie popędów po prostu zniknęło. Nie pozostało nie prócz rozpaczy zwierzenia w potrzasku. Oddawaliśmy ciosy wszystkimi możliwymi środkami w nagłe walce o przeżycie z wrogiem, który postanowił nas zniszczyć. Wątpię, czy stan podobny istniał w wielkich zespołach ludzkich od czasów Chrystusa.

Z naszych szeregów wyszli prawdziwi facybowcy zemsty. Przypominam sobie człowieka imieniem Jan, który pochodził z ponażkowie i mówił płynnie po niemiecku. Przed wojną handlował świńmi. Nosił on ze sobą zdumiewającą kolekcję śmiercionośnych bakterii wszelkiego rodzaju. Mieściło się to w specjalnie zbudowanym eleganckim małym pudełku, zawierającym wszy z mikrobami zarazkow tyfusu i innych chorób. Było to dla mnie tak odrażające, że powstrzymałem się od zbierania bardziej szczegółowych informacji. Metody jego były jednak dobrane nam znane.

Wchodził on często do barów, wazywając rozmowy z niemieckimi żołnierzami i pł z nim. Picie było jedną z przyjemności żyjących Jana, ale nigdy nie dopuszczał on, aby

kolidowało z jego głównym celem. We właściwym momencie Jan wypuszczał wesz z zarazkami tyfusu za koinierz swemu niemieckiemu towarzyszkowi od butelki. Czasami wlewał zarazki do napojów. On również zapoznawał Niemców z dziewczynami chorymi wenerycznie. Wiadomo było, że posługiwali się wieloma różnymi sposobami, które stosował według swego upodobania i fantazji. Ani jeden Niemiec nie wykpił się lekko od znajomości z tą „chodzącą zarazką”, jak go nazywano.

Typowym rozkazem, wydanym dla sprawdzenia dyscypliny i zaufania narodu polskiego, był zakaz czytania pism niemieckich, drukowanych po polsku. Delegat Rządu wiedział, że było by niemożliwe całkowicie zakazać czytania tych pism. Ciekawość i gód wiadomości siedziały zbyt głęboko, aby je można było pokonać. Zakaz wobec tego ograniczono do pewnych okresach do piątków. W tym dniu społeczeństwo polskie miało sobie powieść, aby się wstrzymać od kupienia choćby jednego egzemplarza hitlerowskich pism.

Prostym i mądrym pomysłem dla zjednoczenia i dodania otuchy polskiemu społeczeństwu, oraz dla związania go blisko z Ruchem Podziemnym, był rozkaz o przemianowaniu ulic. Rozkaz ten wydała Reprezentacja Polityczna. Było to trochę romantyczne i sentymentalne w pomysłach, ale okazało się bezcenne w życiu praktycznym. W ciągu jednej nocy na ścianach, na rogach ulic i na latarniach elektrycznych pojawiły się napisy i plakaty z nowymi nazwami ulic od nazwisk bohaterów i mężów stanu tej wojny, których Polacy najbardziej podziwiali: ulica Niedziałkowskiego, aleja Rataja, ulica Roosevelta, bulwar Churchill'a.

Użycie nazwy przedwojennej lub nazwy nadanej przez okupanta stało się nieprzebachalną zbrodnią w patriotycznym towarzystwie. Gdy się przebywało z obcymi, można było natychmiast określić, po której byli oni strony. Jeżeli mówili: „ulica Roosevelta”, każdy wiedział, że, o ile nie są prowokatorami, znajdują się w swoim gronie. Jeżeli powiedzieli: „ulica Debowa”, każdy wiedział, że trzeba trzymać język za zębami. W ten sposób przemianowano wiele ulic w Polsce i nowe nazwy przyjęły się wśród znacznej większości narodu.

W naszej odwetowej walce i w stawianym Niemcom oporze oni sami oddawali nam nieocenione usługi. Niemiecy funkcjonariusze, policjanci, oficerowie i cywile, bynajmniej nie są tak objętymi na dobra ziemskie, jak to im nieraz mawiano, jako „rasie nadludzi”. W krajach okupowanych zabory nie byli niczym więcej, jak tylko banda drobnych złodziejasków, którzy poza nadużyciami w stosunku do miejscowej ludności myśleli jedynie o zdobywaniu pieniędzy.

Pewien urzędnik niemiecki sprzedał nam raz trochę papieru gazetowego. Cena była okurazajca, ale zapłaciłmy ją skwapliwie. Urzędnik zacierał ręce, zapewniał nas o swej przyjaźni i nawet zaczął niejako bąkać o cennym pod adresem narodu polskiego. Czego jednak nie wiedział, to był fakt, że mieliśmy dokładne dowody, wężnie do fotografil całej transakcji. Grzeszenie go potępiono, aby oddawał nam następne usługi po cenach, które się stale zmniejszały, w miarę jak wikał się coraz głębiej. Przez drugi okres czasu dostarczał potrzebnych nam przedmiotów, co musiato być z wielką dla niego stratą.

Przeciętny żołnierz niemiecki na zwykłym lub zdrowszym uropie czesto bardzo potrzebował pieniędzy. Teskniał do dobrego jedzenia i wódki, kłanął papierosów. Łatwo mu było sprzedać nam pas lub piasecz, koc, nabe revolver albo karabin. Pielaliśmy świetne ceny. Po pierwszej transakcji zaczynał zwykle płynąć strumień rzeczy wojskowych, które hultaj musiał nam przynosić, kradnąc lub kupując od kolegów. Wiedzieli dobrze, że dziecinna zabawka było by dla nas doniesie o transakcji jego przełożonym, gdyby chciał zerwać z nami stosunki.

Wielu Niemców, którzy byli Treuhandernami (powiernikami) majątków ziemskich próbowało zrobić pieniądze, sprzedając na czarnym rynku rekwirowane zboże, uprzęż, kocuhy, paszę i prawie wszystko, na czym mogło polegać tapy bez obawy wykrycia. Mieliśmy wielu ludzi, których wyłącznym zadaniem bywały kupna tego rodzaju. Zwykle mówili oni biegle po niemiecku. Brali wszystko, co Treuhaender miał do zaofiarowania, bez targu, i znikali ze swymi nabytkami. Tego samego dnia zjawiali się ponownie z próbą o szczególne towary, i to po bardzo obniżonych cenach. Treuhaender słuchał żądania ze zdumieniem i czesto wpadał w złość. Wówczas nasz człowiek zaczynał mu tłumaczyć.

— „Pan nie nie rozumie! Naprawdę chcę panu oddać przysługę. Gdyby nie dostarczyli mi pan tych rzeczy, mógłbym się udać do pańskich przełożonych i opowiedzieć o tym, co pan poprzednio sprzedał. Może wolałby pan, abym właśnie to zrobił...”

Były to chwile rzadkiej satysfakcji w naszej pracy.

Chciałbym zakończyć ten rozdział opowiadaniem o najbardziej niezwykłych środkach zastosowanych przez nas pod niemieckim jarzmem. Nic mi nie wiadomo o podobnym precedensie w jakiegokolwiek innej organizacji podziemnej.

W 1941 roku położenie materialne Ruchu

Podziemnego było bardzo marnie. Pomoc nadchodząca z zagranicy nie wystarczała na nasze wydatki. Delegat Rządu postanowił zażądać położeń przez wypuszczenie pożyczki wewnętrznej. Miały być sprzedawane obligacje. Po odyskaniu niepodległości i powrocie rządu z emigracji owe zaświadczenia miały być uznane za normalne zobowiązania skarbowe i zapłacone w kupony. Powstał po prostu pod kupowania tych zobowiązań. Był to znamienny dowód wiary Narodu w odbudowę Kraju i zaufania do władz Państwa Podziemnego.

Obligacje nie wyglądały zbyt oficjalnie. Dziesiątki tysięcy małych bibuliakowych skrawków papieru miało następującą treść: Dziekuja za dar tylu to a tylu kilogramów chleba, ziemniaków, węgla itd. Zrobię wszystko co w mej mocy, aby wynagrodzić Panu (Pani), gdy tylko będzie to możliwe”.

Następował podpis i tajny znak zamiast numeru serii. Ziemiaki, chleb i węgiel służyły do oznaczania wysokości sum pieniędzy.

Prasowy aparat kopiertażowy oddawał wielkie usługi w tej kampanii. Ludzie, którzy nie byli czynni w Ruchu Podziemnym, a cieszyli się zaufaniem publicznym i autorytetem moralnym, wyznaczani byli na agentów tej pożyczki. Kampania posuwała również do wzięcia wielu ludzi w atmosferę i przez Ruch Podziemnego. Członków Ruchu Podziemnego, w tej liczbie mnie również, delegowano do zbierania pieniędzy.

Była to szczególna kampania pożyczkowa. Agent przychodził do ludzi, których prawie nie znał, polegając na ich dobrej woli, lojalności, dyskrecji i przywitości. Zwracał się do nich w imieniu anonimowego, tajemniczego Delegata Rządu i biemniennych władz państwowych. Nie mógł przekonywując udowodnić swej tożsamości. Odpwiedzieli z dwadzieścia osób, z których wielu wcale nie było takim. Byli to przeważnie ludzie ze średniej lub robotniczej klasy, którzy żyli z tego, co zaoszczędzili w lepszych czasach. Często byłem pytany:

— „Dlaczego mam panu wierzyć? Skąd wiem, kim pan jest? Jakże zapewnienie może pan dać, że nie użyje pan tych pieniędzy dla siebie?”

W odpowiedziach wskazywałem, że skierowałem nie do nich ich przyjacieli, którym mogą wierzyć, podkreślałem fakt, że Ruch Podziemny musi być, oczywiście, nieznanym i nie może udzielać adresów. Mówiłem im, że jeśli sobie życzą, mogą im posyłać regularnie prasę podziemną tej partii, którą wskazą. Był to zawsze najlepszy sposób przekonywania. Kończyłem, dając po prostu słowo honoru. Chociaż miałem parę nieprzyjemnych rozmów, ani jedna z dwudziestu osób, do których się zwróciłem, nie odmówiła swego udziału. A nie byłem szczególnie żręczny i wprawny w sztuce sprzedawania. Oczywiście, że niektórzy ludzie obniżali sumy, których się od nich domagałem. Pewien pan, od którego żądałem dziesięć tysięcy złotych, dał mi tylko sto. Przypuszczam, że pewna ilość nabywów obligacji kupowała je ze zwykłej ostrożności, ponieważ Ruch Podziemny bardzo łatwo mógł się stać po wojnie oficjalną władzą w państwie. Czuję jednak, że większość dawała, ponieważ puszato ich to, co mówiłem i ponieważ szczerze chcieli pomóc.

Pożyczka cieszyła się wielkim powodzeniem i zebrane sumy pozwalały na dalsze prowadzenie pracy. Po odyskaniu niepodległości zobowiązania z pewnością będą pokryte. Gdyby nie miało to nastąpić, byłoby to strasliwym nadużyciem zaufania dzielnych, patriotycznych ludzi, którzy kochają swój kraj i ponieśli na jego rzecz ofiarę.

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

W IERSZE WŁOSKIE

ŻAL FORNARINY

Z za gór albańskich dostałe lato
chlusnęło słońcem na mnie przez okno:
ściana jak płótno — obrazy światła —
i ja, modelka.

Jak odgłos kroków
w dal odchodzących, serce two cichło
mój Rafaello!

U bram ogrodu
ktoś zawsze skłany wytrwale czołgał,
aż grób two ciało porwał za miodu.

Tylko naprzeciw obrazu Madonny
(okno tęsknoty na świat, gdy ciemno)
miedzy mną został a twóim skomem,
został pomiędzy tobą a ziemią.

Lecz cóż nam z życia, gdy blask u czoła
i usta moje kwitną jak czerwiec?
Długim milczeniem przez wielki wolam
w oczekiwaniu trwając bez przerwy.

PONTE VECCHIO

Chusta nieba, jasne włosy,
i wysoko jest naokół;
Jasne włosy, chusta nieba...
A gdzie Amo? Most? Gdzieś ja?
To na morzu się kolebie
dziwny apeniński wrak.

Czytelnicy „W Drożdze” zapewne przypomną sobie opowieść o walce i śmierci Czarnego, jaką pt. „Pod Arsenalem” zamieściłmy w numerze „W Drożdże”, poświęconym Powstaniu Warszawskiemu (Nr. 14—56).

Drukowany poniżej opis ostatniego dnia walki niemieckich (południowa dzielnica Warszawy, położona nad Wisłą), jest właściwie epilogiem dziełom owej pięknej, bohaterkiej grupy młodzieży warszawskiej, która najpierw działała w tzw. „małym sabotażu”, a następnie w ramach Armii Krajowej utworzyła batalion harcerski pn. „Zośka”.

Batalion „Zośka” walczył w Powstaniu najpierw na Starym Mieście, skąd następnie przebił się przez Ogród Saski do Śródmieścia. Skrawkowi w bojach na najtrudniejszych pozycjach, w pierwszych dniach września, został przeniesiony do dzielnicy wówczas najspokojniejszej — na Czerniaków.

Alle i tutaj sytuacja zmieniała się na gorsze, chociaż w drugiej połowie września wydawał na Czerniakowie jedyny sowiecki desant — jeden batalion tzw. armii Berlinga, pozostający pod dowództwem sowieckiego oficera. 13 września Czerniaków został otoczony, łączność ze Śródmieściem — przzerwana. Większość oddziałów Armii Krajowej na Mokotowie i na Starym Mieście udało się przedostać kanałami do centrum Warszawy. Batalion „Zośka” pozostał na Czerniakowie pomagając ciężkie straty w obronie bezmającej pozycji.

Mimo to batalion „Zośka” miał jednak za zadanie za wszelką cenę utrzymać przyczółek, który by umożliwił la, dowodząc zapowiadanej pomocy sowieckiej. Pomoc jednak nie nadchodziła, zawiadła również ewakuacja rannych, kalek i cywilnych na stronę praską, o czym pisze autor niniejszego wspomnienia.

Niemcy bombardowali Czerniaków ciężką artylerią i samolotami „Stuka”. Czerniaków mimo to opanowali wszystkie koleje szurny, aż wreszcie zamilił w dniu 22 września. Co się stało z dziewczętami i chłopcami Warszawy, związanymi walką i przyciętymi w batalionie „Zośka”?

Rankiem 24 września do lokalu Głównej Kwatery Harcerzy w Śródmieściu przyszedł o lasce, okrawiony, znużony śmiercią dowódca harcerskiego batalionu; żołnierskimi słowami opowiedział dramatyczną historię ostatniego dnia Czerniakowa, który był ostatnim dniem harcerskiego batalionu i ostatnim dniem nadziei na jakiegolwiek rzeczywisty pomoc z brzegu praskiego.

Tytuł niniejszego opowiadania pochodzi od redakcji. Autor nazwał skromnie swą relację „Ostatni dzień Czerniakowa”, choć była to naprawdę jedna ze straszliwych relacji, broniłona z najwyższym poświęceniem młodego życia w złudnym oczekiwaniu na pomoc z drugiej strony Wisły.

NADSIEDZIELE dzień 23 września. Obudziliśmy się ze stanu półdrzemki, w jaką zmęczonego człowieka zapada między jednym a drugim nartarciem, między jedną a drugą obroną. W uszach हुआ می شیشه ostatnie wybuchy granatów, rwących się nad naszymi głowami. Słyszę jeszcze cichy pokój rannych i krzyki, którzy, leżących pokotem w ciasnym korytarzu piwnicy, potrąconych przez kolegów śpiących na stanowisku.

Alarm. Niemcy nacierają. Odkryłki te nie wydobyły jakiegó gorączkowej krztawiny, gdyż stały się już chlebem powszednim garstki obrońców. Pospiech ich jest jakiś przytłumiony, jak pospiech robotnika wykonującego swe codzienne czynności. I znowu terkot ckm'u zagłusza jakiś rannych, granaty rwą się po staremu i po staremu giną ludzie.

Niemcy są już w garażu. Ich próby przedarcia się do budynku, w którym siedzimy my, paraliżuje nasz karabin maszynowy, długimi

seriami wymiatający podwórko. Kilku śmielszych niemieckich zardumów wije się już w mełach konania we drzwiach garażu. Inni cofają się w popiochu.

Teraz kolej na nasze granaty. Lecą „filipinki”, lecz sowieckie ppance — przez bramę i dach garażu. Wyrwyją belki piąpu, który wali się z suchym trzaskiem i znów syczący jakiś rannych. Teraz my nacieramy, skokami przez podwórko za pierwszy filar bramy, do garażu, do stróżówki — starą drogą zaślana nowymi trupami. Kilka krótkich serii peemów, jeszcze jeden wybuch granatów i cisza.

Chłopcy wracają zwolna, niosąc zdobycze: peemy, kb, granaty. Ale to, co niedawno jeszcze wzbudzało ich entuzjazm, dziś rzucane obojętnie, powiększa stos gromadzony już poprzednio broni, nikomu niepotrzebnej, lub przewyższającej znaczenie wciąż malejącej liczebności obrońców. Patrząc na zmęczone i wypielowane twarze, na których parodniowa, głodowa wycisnęła już wyraźnie piętno. Widzę, jak z ufnością patrzą na mnie, wierząc, że dzień dzisiejszy jest ostatnim dniem piekła, w którym tkwimy już od wielu dni. To im obiecałem.

Leniwa myśl coraz bardziej gorączkowo układa plan przebiecia się do Śródmieścia. Rzecz to niełatwa. Dane, jakimi rozporządzam, są bardzo skromne. Gdzie są nasi? Przed 10 dniami ktoś nam przyniósł wiadomość, że nasi opanowali Plac Trzech Krzyży, zajęli budynek w górnej części ulicy Kasprzkiej, porzuczyli stan posiadania na terenie Frascatti. Ale gdzie są obecnie? Czy utrzymali się na tych pozycjach, czy też zostali wyparci; a może są bliżej, niż przypuszczam? Tej ostatniej myśli przeczy cisza, która trwa od paru dni na kierunku Śródmieścia.

A więc Plac Trzech Krzyży — to chyba można przyjąć. Tu w tok myśli wpada gorączkowo melndnek: radiostacja nie działa, akumulatory wyczerpane, na współpracę artylerii sowieckiej już oddać ciężko nie można.

Myśl, że ostatnia nied, łącząca nas ze światem została zerwana, wprowadza mnie w stan gorączkowej działalności. Zsuwam się z tapczanu, ciągnąc za sobą obolałą nogę. Kuszytym z laską do kuchni, w której stoi radiostacja. Otagając ją rozgorączkowane twarze: majora Łatyszonowa, radiotelegrafisty i kilku ludzi obsługi. Padają słowa polskie i rosyjskie. Rosyjski dowódca plutonu łączności tłumaczy, że od kilku dni prosi o przysłanie nowych akumulatorów, ale bezskutecznie. Pozostają jeszcze rakety, ale jak przy ich pomocy regulować ogień artylerii?

Pytam, czy mogą zastąpić akumulatory bateriami telefonicznymi i latakowymi. To im nie przyszło do myśli, ale można spróbować. Wówczas jednego z chłopców, znającego się na elektrotechnice, i polecam wymontować wszystkie baterie ze zbędnych zresztą aparatów telefonicznych. Polecam zebrać wszystkie baterieki z latarek, jakie się u nas jeszcze znajdują. Sam siadam i poddaję swą nogę zabiegom wprawnych rąk sanitariuszek.

Patrząc na ich umorusane i zmęczone twarze, na ich żrzące ręce, krzątające się żwawo przy bandażach. I doznaję dziwnego skurczu serca na myśl, co stanie się z tą garstką dziewcząt, które towarzyszyły nam wszędzie, w chwilach radosnych zwycięstw i ciężkich porażek.

W tok rozmyślań wpada gorączkowym głosem powtarzane: Elektron — tu Sokół, Elektron — tu Sokół, poniał, poniał; Elektron — tu Sokół, Elektron — tu Sokół... To odezwała się znowu radiostacja.

Zarządzam odprawę w ścisłym gronie: ksiądz Paweł, mój Łatyszonow — oficer obserwacyjny sowieckiej artylerii, Witold. Oświadcza: w ciągu dnia dzisiejszego musi nastąpić ewakuacja reszty oddziałów „Berlingowców” i moich. Jest obecnie godzina 8 rano. Ewakuacja musi rozpocząć się od godziny 8. W związku z tym żądam:

o godzinie 7.50 ogień artylerii na pozycje niemieckie w rejonie ulic: Rozbrat, Solec — róg Ludnej, Gazowni, Zagórnej, Spółdzielni „Spolem”.

Wzmocnienie ognia ciężkich dział na Sejm, Al. Szucho, Pole Mokotowskie, Filtry, Ogród Saski, Szpital św. Łazarza;

ogień bezpośredni na Solec i Wilanowską po obu stronach przyczółka, który trzymamy między ulicą Wilanowską a Zagórą.

zapora ogniova po linii skośnej od ulicy Wilanowskiej róg Solca przez teren „Spolem”. Czerniakowską do Górnośląskiej.

Sama przeprawa powinna zacząć się o godzinie 8, w kolejności następującej: ciężko ranni, lekko ranni, kobiety i ludność cywilna, „Berlingowcy”, ja ze swoim oddziałem. Ubezpieczenie przyczółka od strony pñ i zach. w czasie przeprawy obejmuje drużyna Jurasa, wzmocniona ckm'em, ubezpieczenie z pñ obejmuje dwie drużyny fizylierów z jednym ckm'em i dwoma lkm'am. Stanowisko w miejscu ładowania obsadzi „Zośka” z jedną sekcją i lkm'em. Ponieważ żołnierze nasi od trzech dni nie jedli, próżno o natychmiastowy zwrot żywności w rejon posesji Wilanowska 1. W czasie przeprawy proszę o zabranie dynamy. Gdyby dowództwo i dywizji odmówiło to jednakich względów swej pomocy, jestem zdecydowany w nocy przebić się z oddziałem do

Śródmieścia: szczegółowy plan i rozkazy podam do wiadomości w odpowiednim czasie.

Niewiele było do godnia. Mjr. Łatyszonow rozumiał całą dozę sytuacji. Żołnierze jego jawnie buntowali się. Wczoraj pewna ich część poddała się Niemcom, dziś coraz częściej słychać głosy poddania się.

Radiostacja znów pracuje. Mówi Łatyszonow. Powtarza słowo w słowo moje żądania. Po chwili komunikuje mi przychylną decyzję swego dowódcy, z tym że godzinę rozpoczęcia przeprawy przesunęli na 9, a przesłano z mgły będzie wykonana w kilku oddzielnych falach. Dostaniemy 100 pontonów po 20 osób pojemności każdy. Kolejność przeprawy zaakceptowana.

Oczy strzelców tkwiących na stanowiskach kleją się ze zmęczenia. Patrząc na ich umęczone twarze, na ich zniekane ciała, szarpane bólem ran nieodstatecznie opatrzonych, zropliach. Mówię z nimi spokojnie, rzeczowo, staram się wlać im w serca wiarę w szczególne, w zakończenie dramatu, którego są aktorami, odchodzę szczęśliwy, gdy uda mi się wywołać uśmiech na ich twarzach.

Na poprawienie nastrojów wpływa zjawienie się patrolu wysłanego po wodę. Poza kotłem wody przyniesli wspaniałą zdobycz: zępatą, twardą skórę z wielkiego bochna chleba. Nie wiem, kto ją rzucił na drogę naszego patrolu; wiem jednak, że takiej radości z pozornie tak białego powodu dawno nie widziałem.

Mimo woli spoglądam w kierunku rzeki, ku drodze znanej ciętami poległych, ku rzecze tak bliskiej, a tak okrutnie dalekiej. Chwilę zastanawiam się, ile krwi kosztowała każda kropla wody wydartej tej rzecze. Jeszcze widział na brzegu zamarłego jak gdyby w ruchu czerpania człowieka, który już nigdy więcej nie zaczął, ani nie zbliżył się do wody. Inny leży w pozycji spoczynkowego spoczynku, jakby zmęczony długą drogą położył się na wilgotnym brzegu rzeki dla zacerpnięcia oddechu.

Stanowczo życzę często myśli młodego człowieka — zwracam ją szybko do gwaru, którym rozbrzmiewa piwnica. To dziewczęta gotują prawdziwą zupę — chlebną zupę. O błogosławiona dłoń, która rzuciła na drogę moich chłopców skórę zeschniętego chleba. Ale w gwar radosnych głosów wdziera się znowu okrzyk Witolda: Alarm, wszyscy na stanowiska!!

To szeroka fala tyralieri biegnie Niemcy z rejonu „Spolem”. Skokami przebiegają ulice, zwracając się szybko do gwaru, którym rozbrzmiewa piwnica. To dziewczęta gotują prawdziwą zupę — chlebną zupę. O błogosławiona dłoń, która rzuciła na drogę moich chłopców skórę zeschniętego chleba. Ale w gwar radosnych głosów wdziera się znowu okrzyk Witolda: Alarm, wszyscy na stanowiska!!

To szeroka fala tyralieri biegnie Niemcy z re

TYMON TERLECKI

WYSPA TRUDNEGO SZCZĘŚCIA

ESSAY O ANGLII

Po latach pobytu w Anglii trudniej jest o niej pisać, niż po tygodniach, niż po pierwszych miesiącach. Dział tu odwrócenie prawa, które mówi o słabnięciu wrażliwości na bodźce jednostajnie natężone. W przypadku Anglii dzieje się to samo pod wpływem bodźców jednostajnie stłumionych. Całe promieniowanie, cała vibracja tego świata jest jakby zamortyzowana przez izolator, przesączona przez filtr. Gdyby ktoś chciał sprowadzić istnienie w Anglii do lakonicznej — stąd ubogiej — formuły, mógłby o nim powiedzieć: życie z surdyng, życie z tłumikiem.

Ale tu zaczyna się pierwszy paradoks angielski. Jest to życie naprzeciw, na wspaniebie. Eter angielski wydaje się przybyszowi z ładu, synowi klimatu kontynentalnego, najbardziej zmienny ze wszystkich doświadczone, ze wszystkich możliwych. Powietrze nad Anglią i wszystko co jego jest: obłoki, światło, cienie, mgły, kolory, wspomnienie i osmoza kolorów—wszystko porusza się nieprzewidywalnymi skokami, roztrąca każde oczekiwanie. W języku angielskim istnieje na to śliczne, tajemnicze słowo: *bouncy*. Zależy się ono przystawać do tego klimatu odruchów, do klimatu stanowiącego samą sublimację nieustatkwania, wyuzdanej kapryśności, niepomiarowatą rozrzutnością.

Jeśli ta sensacja jest słuszna, to ustrój bytowania na tej wyspie musi się wydać nie wytworem klimatu, ale wyzwaniem i zwycięskim przeciwstawieniem jego naturze. Wszystko tu, co jest ludzkie, zaprzecza nauce, którą głosił już osiemnastowieczny L'abbé du Bos — o bezpośredniej, nieuniknionej zależności człowieka od świata otaczającego. Człowiek jest tu dziełem człowieka. Życie jest tu dziełem kultury.

Przeciw zmienności nieba człowiek postawił ciągłość swojej świadomości, przeciw jego ekshibicjonizmowi—egzaltowaną wstydlivość, przeciw jego nieustannej ruchliwości—stabilizację myślenia, uczucia, widzenia, trwania. Wyspa zanurzona w tygryl fantastycznej alchemii Gulf Streamu, opłynięta krzyżującymi się prądami, spowita w zmieniające się wiry powietrza — wyhodowała najbardziej konkretnie, pozytywnie myślącą tkankę mózgową.

Kultura wyteżyła się na to, aby przezwyciężyć przyrodę, aby człowieka od niej uniezależnić. W parze z tym idzie nowy paradoks. Ta sama kultura wytworzyła bodaj jedyny w Europie typ skupienia wielkomięskiego, który nie zerwał związku z naturą, w którym pufność współżycia człowieka z rośliną i zwierzęciem jest wyższa, niż łączność między człowiekiem i człowiekiem. To tu zdarzają się „konurbacje” miast przemysłowych, stapienie się planet puchących w zielonej przestrzeni i jednocześnie trwa fetystyczny kult „*backgarden*”—ożarza na którym człowiek wyzwolony od natury oddaje cześć naturze. To tu w łabędzim przegięciu, w delcie Tamizy rozrosło się miasto-potwór, miasto-hydra stugłowa i triumfujące przetrwała w nim zielen. Przyroda i kultura — w tym dylemacie, co tak fascynował romantyków, Anglia wygrała najskrajniejsze możliwości: całą siłę przeciwstawienia i całą moc solidarności.

Można by napisać książkę: Anglia czyli anti-Freud. Istotą kultury angielskiej jest stłumienie, jest spełnienie, jest redukcja, prewencyjna i policyjna kontrola refleksów, jest otamowanie nieobliczalności i niespodzianości duchowej. Freudowski obraz sita, gęsto choć nieszczelnie odgradzającego świadomość od podświadomości, w zastosowaniu do psychiki angielskiej trzeba by dopełnić obrazem złozonego systemu sit, wstawionych w przestrzeń świadomości. Jest to przedsięwzięcie dokonane na olbrzymią skalę, można rzec: standaryzowane. A mimo to nie podpada ono pod klątwę mitologii freudowskiej. Anglia jest wszystkim tylko nie — sanatorium psycho-analitycznym. Mogłaby eksportować zdrowie duchowe razem z wełną. „Old spinsters” są dla jej ekonomii psychicznej nie obciążeniem, jak bezrobotni dla ekonomii materialnej, ale siłą społeczną może nie równą zakonom w średnowieczu, ale trochę im podobną. Zdarzyło mi się niedawno czytać publiczną dyskusję wszczętą przez kobiety niezamężne o — „artificial insemination”.

Prawda o mistrzostwie sztuki w ograniczeniu zdaje się być w Anglii przeniesiona na istnienie jednostkowe i zbiorowe. Obowiązuje w nim ograniczenie celu, ograniczenie uczuć, ekonomia ekspansji w świat. „Weltschmerz” jest tu niemożliwy, „Selbstschmerz” jest czymś prywatnym i wstydlwym.

Da się to powiedzieć mniej patetycznie. Anglik stosuje do życia osobniczego zasadę kalkulacji kupieckiej: wydawać jak najmniej. Rzadko, właściwie nigdy nie wprowadza rezerw, aby nie tracić nad nimi panowania. Oszczędza mechanizm wrażliwości — przez unikanie, przez uchylanie bodźców, przez łagodzenie siły ich ataku. Cechuje go minimalizm: nie możliwości, ale ich użycia. Można by o tym wyobrażeniu bytu powiedzieć: życie bez pedału, życie na pierwszym biegu, życie dawowane, zekonomizowane do ostatecznych granic możliwości.

Racjonalizm francuski przez usta Pascala naucza: „Travaillons donc à bien penser—voilà le principe de la morale”. Angielska religia instynktu dałaby się streścić w nakazie: usługujmy żyć jak najostrożniej, jak najpowściągliwiej, jak najoszczędniej—oto recepta na szczę-

ście, jeśli szczęście jest możliwe. W mądrości ludowej i wulgarniej—to przeciwieństwo wyraża się w postawach: „*je-m'en-fiche-ryzm*” „*take-it-easy-ryzm*”. Francuz odrzuca to, co się nie mieści w takim czy innym logicznym założeniu. Anglik stara się to przetrzymać za cenę najmniejszego wydatkowania energii. Francuz konstruuje szczęście sztucznie, jako fikcję intelektualną. Anglik jest szczęśliwy w tym, co jest, przez to, że jest takie, jakie jest.

Paradoks—a może i nie—angielskiej koncepcji życia stanowi to, że jest w niej naturalne miejsce na śmierć. Człowiek uczy się w tej kulturze umierać śmiercią cudzą, potem śmiercią własną, jak uczy się żyć. Usiłuje wyminąć katastrofę śmierci, w równie bezbolesny, mało bolesny sposób, jak katastrofę narodzin, jak przewlekłą katastrofę istnienia. Wytycza się tu prosta linia od „The Adventure of Death” dra med. Roberta McKenna’ do siedemnastowiecznego „Holy Dying” Jeremy Taylora, do essayu Bacona o śmierci, do średnowiecznych podręczników sztuki umierania, „ars moriendi”. Było ich w Anglii bodaj więcej niż gdziekolwiek i tylko tu są ciągle nie rodzajem literackim, ale składnikiem mądrości zbiorowej.

Wszystko to, taka postawa wobec życia i taki stosunek do śmierci, może być osiągnięte przez tresurę jednostki, przez spętywanie jej biologii, ograniczanie jej swobody. Chyba to jest najbardziej tajemnicze w Anglii, że surowa-reguła urabiania człowieka nie zabija wiary w niego, wiary w życie, w tworzącą wartość wyrzeczenia i samoograniczenia. Nigdzie też dyalektyka: wolność i dyscyplina nie osiągnęła tego stopnia złożoności i wysubtelnienia. Może tak jest — na przekór strasliwym doświadczeniom systemów totalistycznych — dlatego, że punktem wyjścia jest człowiek, celem jest człowiek, drogą dojścia jest człowiek. Nie — abstrakcyjne urojenie, nie — kompleksowa utopia.

Na tych szlakach powstaje typ kultury przystosowany do wystarczania sobie. Jest to typ kultury osobniczej, niewątpliwie egoistycznej, ale bez agresywnej brutalności egoizmu niekontrolowanego. Typ kultury prawie anachoretycznej. Jej ewangelia mówi: każdy tak winien żyć w swoim eremie, w swojej ochronnej skorupie, aby ranić się jak najmniej i jak najmniej ran zadawać innym. Oslaniając siebie osłaniać innych.

A jednocześnie — jest to jeszcze jeden, także chyba pozorny paradoks — ten typ kultury umożliwiał powstawanie sprzędów zbiorowych, jawnych wybuchów egzaltacji uczuć. Dzieje się tak może dlatego i może dzięki temu, że ocala się tu tyle energii zużywanej gdzie indziej na tarcie kantu o kant, rogu o róg. Na objawienie takich zestrożeń nie trzeba czekać aż do czasu wojny. Wystarczy do róczny „Concert of Carols” w Albert Hallu, uchodzący uwadze nawet bardzo pilnych podpatrywaczy osobliwości angielskich. Ileż w ciągu dwu godzin dyrygent odwraca się tam od chóru, przypomina sobie prawdziwy gest koryfejsa i kapłana. Na jego skinięcie siedem tysięcy ludzi śpiewa szorstkie, chłopskie koledy średnowieczne, pieśni z dramatów Shakespeare’a i tennysonowski hymn: „Ring out wild bells to the wild sky”. Olbrzymie jajo, zniesione przez epokę wiktoriańską — niesamowite i poczarne, obiega prąd jednoci o tak porywającej sile, że nie podobna mu się oprzeć. Przybysz zza Kanału w oślnieniu stwierdza ciągle aktualną tożsamość przeżycia artystycznego i przeżycia religijnego. Widzi bijące w dwudziestym stuleciu źródło, z którego narodziła się tragedia grecka.

Na tym jednym przykładzie widać, że nie

jest to istnienie przekopane do dna, bez reszty wyjaśnione, racjonalistycznie uporządkowane. Anglik nie ulega misticznie racjonalizmu, że wszystko da się wylegitymować rozumem, nie stawia wszystkiemu stopni za inteligencję. Przeciwnie, jakby po heglowsku uważa, że to, co jest — jest dobre. Ma dążność do zachowania, do konserwacji każdej rzeczy z wdzięczności, z prawie zabobonnej czci za prosty fakt jej istnienia.

Anglik zdaje się być także organicznie antyrewolucyjny. Rewolucja jest jakby skokiem na wyrost, jest aktem przyrodniczej rozrzutności, usiłującym za każdą cenę, choćby cenę zniszczenia, zagwarantować upragniony skutek, jest zabiegiem nieekonomicznym, a przez to najgłębiej mu obcym, sprzecznym z jego instynktem, przeciwnym jego filozofii kultury.

Z tych dwu podstaw rośnie zachowawczość angielska. U jej dna tai się magiczne wierzenie, że w czasie teraźniejszym zawarta jest cała przeszłość, że każda chwila jest tylko perspektywą głębną na czas przyszły. Dlatego nie należy się dziwić, jeśli na Isle of Man zobaczy się parlament obradujący „sub Jove”, jak za czasów celtyckich, kiedy wyrażenie „sub Jove” nie było jeszcze przenośnią i zabytkową skamieniną. Dlatego, myślę, w angielskiej miłości do drzew trzeba widzieć przetrut wiary animistycznej. Drzewa to — one jedne — pouczają o niezniszczalności, o ciągłości istnienia, ukazują je jakby perspektywnie, bo każdy obrót ich życia jest zapisany, jest zachowany w jednym słoju pnia.

Powietrze Anglii, miękkie, wilgotne, ciepłe, kształtuje korony drzew tak harmonijnie, jak nigdzie indziej, nadaje im formy pełne, czyste, wyraziste — klasyczne. Powietrze jej kultury, twarde, oschłe, chłodne sprzyja powolnemu dojrzewaniu, starzeniu się, biblijnej długowieczności. Tylko w Anglii możliwa jest książka, którą kiedyś znalazłem w pensjonacie, wśród słodkich wzgórz Devonu: „On Growing Old Gracefully” a Book for the Aged and Aged by Rev. Charles Courtenay. M. A.”.

Tu zjawia się jeszcze jeden paradoks. W tym kraju ludzi starych króluje tajemnicza młodzieńczość, naiwność, dziecięca prostota. Człowiek z kontynentu wydaje się o tyle starszy i postarzały, że mógłby być ojcem Anglika równego wieku. Dzieci noszą się tutaj i zachowują często jak dorośli — dorośli dotyka życia jak dzieci. Sto lat temu niejaki Theodore Hook pracowicie zestawiał rejestr „practical jokes”; obejmował on i „apple-pie bed” i—przywiązywanie kawałków mięsa do dzwonków w tej przewidującej intencji, że każdy przebiegający pies będzie za nie pociągał i alarmował mieszkańców. Nie tak dawno analityk z „Times’a” przeciwstawiał Hookowi, lekkomyślnemu wodewiliście i jeszcze bardziej lekkomyślnemu Accountant General of Mauritius — głębsze wejrzenie na to zjawisko obyczajowe, upatrując w nim „practical reduction to absurdity”.

Nie podjąłbym się rozsądzać tego sporu, ale myślę, że tylko w Anglii książki dla dzieci są książkami dla starszych. Alicja w „krajnie czarów”, w płaskiej, tajnej, odwróconej głębi przelotnych odbić, do której wejść można tylko przeniknąwszy przez powierzchnię lustra, jak przez powierzchnię wody i Winnie the Pooh, „the bear of very little brain”, poeta, antyintelektualista, naiwny smakosz słodyczy życia, i Peter Pan — wszyscy oni mają równe prawo życia w wyobraźni dzieci i starszych. Od książek o nich prowadzi prosta linia do prozy i poezji „Magic Flute” G. L. Dickinsona, uczzonego, myśliciela, autora platońskich dia-

logów, który nie przestał być — dzieckiem. Zależy magiczna nuta zamyka krąg: ostatnia książka Dickinsona jest książką dla dorosłych, ale mogą i powinny ją czytać dzieci.

W świetle tego spojrzenia daje się rozbroić banał o angielskim braku wyobraźni. Anglik nie puszcza wyobraźni swobodnie, jakby z obawy, że ona może go odciąć od świata, obniżyć wartość życia takiego, jakie jest. Każde jej dążyć realność, czyni z niej nie walor nadrzędny, ale służebny bytu, uznaje, jak mówił Alain Fournier, ostatni z francuskiej woltrowsko-mallarméowskiej linii anglomanów — „la merville étroitement inserrée dans la réalité”.

Sir Walter Raleigh, autor „Historii świata”, świata, który między jedną i drugą nie-laską królewską eksplorował obojętnie, i T.E. Lawrence, Lawrence Arabicus—są niezerównymi wcieleniami zdobywczej wyobraźni angielskiej. Oni też i im podobni rozstrzygają dylemat Carlyle’a: co jest ważniejsze: Shakespeare czy Imperium Brytyjskie? W wyższym porządku spraw zdają się być związane funkcjonalnie: Shakespeare — największa w dziejach ekspansja w świat duszy, i Imperium Brytyjskie — największa, najzuchwalsza, najbardziej rozumna i celowa ekspansja w przestrzeń.

Jeszcze bardziej rygorystyczny niż do wyobraźni jest angielski stosunek do seksualizmu. Kultura tego kraju wydaje się z założenia antyseksualna. Odczuwa ona sex jako zjawisko katastroficzne, kataklizmowe, jako naruszenie wszystkich miar i zerwanie wszelkich hamulców, jako przeżycie ślepo przyrodnicze. Dlatego seksualizm jest przez tę kulturę osaczony, zabijany milczeniem zмовy społecznej. Dlatego skazuje go ona na istnienie niejako akcydentalne, na dalekiej peryferii życia, na granicy mroku, na brzegu podświadomości, w najlepszym razie — pod auspicjami przyrody.

Spętanie seksualizmu jest zabiegiem udanym, bo cała ta kultura stoi zasadą antytoksyn. Na toksynę sexu zadaje — sport. Podobnie na toksynę wywołane rygoryzmem wymaga społecznym stosuje odrutkę „hobby” — rezerwatu dziwactwa, podniesionego do godności instytucji. Toksyny tworzone przez konsekwentny pozytywizm: myślenia odczynia ucieczką w nonsens, w „Land of Jumbies”, eskapizmem w fikcję: Ruskin umieścił wierszowane absurdy Edwarda Lear’a na pierwszym miejscu listy stu najdroższych mu książek, filozof materialistyczny MacTaggart był znany z pożerania siedmiu do dziesięciu powieści na tydzień.

Anglia stanowi przykład szczęśliwego połączenia dążeń z reguły przeciwnych: tresury i sublimacji. Jej kultura wydaje się trudnym, rzadkim osiągnięciem równowagi. Nie ma w niej przewlekłych rozdarć, wieczystych rozdźwięków, anarchistycznego podminowania. Oddycha ona — jak literatura tego kraju — rytmem równego, spokojnego oddechu, gra pulsem przypływu i odpływu krwi w sercu. Jest to kultura na miarę człowieka: nie usiłuje go przeskoczyć, przeoczyć, ale objąć, pęta go po to tylko, aby mu zapewnić wolność. Jest to kultura przeciętności, kultura przy znamionach hierarchii standaryzowana, i dążąca do standaryzacji. Dlatego jej funkcje naturalną stanowią buntownicy, cierpiące anioły z pierwszych szeregów ziemskiego piekła: Blake, Shelley, Byron, de Quincey, Wilde, Joyce, E.G. Craig, D.H. Lawrence, Roger Fry. Oni zdają się brać na siebie przeważny ciężar cierpienia, stanowią cenę, za którą całe generacje żyją tu szczęśliwie.

Bo Anglia jest udanym eksperymentem kultury eudajmonistycznej — kultury wychodzącej z założenia, iż szczęście jest możliwe, potrzebne, należne człowiekowi, i zdążającej do jego urzeczywistnienia w wymiarze doczesności i w materiale cielesności.

* * *

Rozważania niniejsze znamionuje dążność do uogólnień, których niebezpieczeństwo pozytywistyczny umysł angielski zawarł w wyrażeniu „sweeping generalisations”. Nie po to, aby uchylić taki zarzut, ale by dokonane uogólnienia przywiązać do ziemi, winno tu być powiedziane, że nie dotyczą one Anglii „wiecznej”, ani Anglii pozaspołecznej, ale ściśle Anglii dzisiejszego czasu i głównie Anglii „middle-class”.

I jeszcze to niech będzie wolno stwierdzić, że za usiłowaniami bezstronności kryje się tu nie motyw pełnej zgody na angielską koncepcję życia, ale motyw twrogi o jej przetrwanie w próbie czekającej całą kulturę europejską.

Wobec tej próby Anglii — ojczyzna paradoksów — staje uwikłana w niebezpieczny paradoks: uważa swój eksperyment za prawo obowiązujące, samo przez się zrozumiałe, nie tylko we współżyciu ludzi, ale i ludzkich społeczności.

Wobec tej próby Anglii staje świeżo wyzwolona z paradoksu, który można by wyrazić przeciwstawieniem: narody młode umieją umierać, narody stare umieją żyć. Anglia umie żyć i umie umierać.

Musi umieć żyć i — jeśli trzeba — umierać dla zwycięstwa swego obrazu życia. Bo bez jej udziału kultura europejska przestałaby być sobą, pewnie przestałaby istnieć. Jest ona jednak nie do pomyślenia bez francuskiej kultury intelektu, hiszpańskiej kultury temperamentu, polskiej kultury uczuć i emocji, angielskiej kultury instynktu życia i instynktu szczęścia.

JERZY PIETRKIEWICZ

ZE „SZNURA PERŁ DLA AURY”

Bo wrózę z cienia, — chory mistyk.
Bóg rzuca cień przejrzyści
na moje sny.
Otwieram sny jak boże listy,
a w listach tylko — lzy.

*

Prawa poezji zawsze jednakie.
Za morza samolot odleci
w poółkłą jesień stuleci.
Lecz wciąż go będą nazywać ptakiem
zdziwione dzieci.

*

Rym ma wargi różowe,
nabrzmiące, tęskniące za słowem,
co w echu jak w muszli dojrzewa.
Rym — gdy mówię skradnie pocałunek —
w rytm napięty uderza jak w strunę.

*

Stodoła. Wymarsz topoli
w pole ku mgle.
Mech strzeże złera, Dym w górze boli,
niebo nawilgłe gnie —
dym nad chatą: sztandar niewoli.

*

Z czego się cieszyć? Z czyśćca kolorów
i z dźwięków piekła.
Z czego? Z rżących w trzcinach wieczorów
i z chmur, skąd ropy skarg nie wyciekło
dość — na nasz refren nudny: śmierć — poród.

RABIN DR. J. W. HIRSZBERG

DOKUMENT PRZYJAŹNI

Z dziejów stosunków polsko-tureckich *)

Przyjaźń polsko-turecka, datująca się od czasów Zygmunta Starego, była wynikiem konstatacji politycznej, która nakazywała obu tym państwom powstrzymać się od wzajemnych kroków nieprzyjacielskich. Sulejman II Wspaniały, zwracając się całą swą siłą przeciw Habsburgom w Hiszpanii i ich krajach dziedzicznych, opanował z biegiem czasu wielką część Węgier, a chcąc mieć zapewniony spokój ze strony polskiej, chętnie zawierał rozejmy i traktaty pokojowe¹⁾. W Polsce zaś od czasów nieszczęsnej wyprawy Olbrachta uważano za konieczność zapewnić sobie jak najdłuższy pokój z Turcją, dobre bowiem stosunki z sułtanem ułatwiały obronę przed Tatarami i Wołoszą²⁾. Układy polsko-tureckie, poza wymienionymi już korzyściami, zapewniały ponadto Polsce swobodę działania na innych odcinkach polityki zagranicznej. Tak to obojmu interesy doprowadzają do rozejmu w r. 1525.

Pomimo nawoływań papieża do świętej wojny przeciw niewiernym dochodził z biegiem czasu do skutku jeszcze ściślejszy związek między Polską a Turcją, a mianowicie w r. 1532 zawiera Zygmunt Stary, po straszliwej klęsce bratanka pod Mohaczem (1526), traktat pokojowy z Sulejmanem na czas jego panowania³⁾. Umowa podpisana w r. 1533 przez Trzecińskiego w Konstantynopolu, gwarantująca wolność handlu oraz wzajemne bezpieczeństwo od napadów, staje się wzorem dla następnych umów⁴⁾. Rok 1541 przynosi zajęcie stolicy węgierskiej przez Sulejmana, który obecnie jest już bezpośrednim sąsiadem Polski, i to nie w dalekich stepach czarnomorskich, ale w Karpatach. Przez pewien czas groziła nawet wojna, do której obie strony czyniły przygotowania, a którą ze strony polskiej miał prowadzić Zygmunt August. Niebezpieczeństwo zażegnano przez odnowienie traktatu pokojowego w r. 1547.

Jeszcze konieczniejszą okazała się gwarancja pokoju za czasów Zygmunta Augusta. Młody król, wstępując na tron, objął po ojcu nie tylko te same główne zagadnienia polityczne, ale także to samo stanowisko. Gruntuje się bowiem w nim przekonanie, że trzeba utrzymać pokój z Turcją, by mieć swobodę działania w kwestiach dla Polski daleko ważniejszych.

Na pierwszy bowiem plan wysuwają się wówczas dwie sprawy: moskiewska i bałtycka. Niebezpieczeństwo tureckie było wprawdzie teraz groźniejsze, ale właśnie dlatego zależało Polsce na zachowaniu poprawnych stosunków z tym sąsiadem. Rokowania, prowadzone w r. 1552 z posłami tureckimi, uwięzione traktatem pokojowym w następnym roku, oraz nowy układ pokojowy w r. 1568, świadczą wymownie o wielkich zdolnościach politycznych króla. W ich wyniku tak ułożyły się stosunki z Turcją, że zamiast wroga miała Polska w niej sprzymierzeńca w swej walce z Moskwą, przeciw której wyrusza w r. 1569 wielka wyprawa turecka⁵⁾. Tak samo dalszy pokój z Turcją miał być jednym ze środków wykonania programu bałtyckiego.

Widzimy, że zawsze w przededniu wielkich pociągnięć politycznych obie strony starają się o zabezpieczenie pokoju polsko-tureckiego. Tak też prawdopodobnie rzecz się miała podczas pertraktacji, których kulisy odsłania publikowany poniżej list następcy tronu Selima II. Zygmunt August, zamieszany w wojnę o Inflanty (1557-1562), przez swych zaufanych w Turcji stara się o odnowienie przyjaźni i ten cel osiąga.

Wśród tych, którzy pertraktacje te prowadzili, wymieniał list Selima na czołowych miejscach Józefa Nasi⁶⁾, następnie Ibrahima-bega⁷⁾.

Rokowania te muszą sięgać 1561, a może nawet 1560 r., gdyż w liście następcy tronu Selima, stanowiącym niejako finał tych pertraktacji, a datowanym z dnia 2 marca 1562, mowa jest o długotrwałej korespondencji między dworami w tej sprawie. Słyszemy bowiem o radach, dawanych przez Józefa Nasi królowi polskiemu, dalej o listach dostojników polskich, pisanych w tej sprawie do mediatorów, jako też o listach króla Zygmunta Augusta do Józefa Nasi w sprawie przymierza. Biorąc pod uwagę ówczesny stan komunikacji, zważywszy, że np. poseł polski, o którym wspomina Selim — Jerzy Jazłowiecki, przybywa do Konstantynopola dopiero w r. 1563, śmiało przypuszczać można, że przedwstępne te rokowania trwały rok, a może i dwa, że więc kontakt Józefa Nasi z Zygmuntem Augustem musiał datować się przynajmniej od r. 1560.

Po powyższym wstępie przejść możemy do naszego dokumentu.

Omawiany dokument znajdował się w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Właściwie są to dwa akta, zapisane w inwentarzu Archiwum Koronnego z r. 1730, a sygnowane Nr. 122 (Turc) 1730 i Nr. 124 (Turc) 1730. Listy te są oryginalnymi przekładami korespondencji Selima II, następcy tronu tureckiego, sporządzonymi przez Ibrahima-bega na dworze tureckim.

Dokument 122 (Turc) 1730 ma wymiary 56,5×29,5 cm, margines lewy 5,5 cm. Tekst zawiera prócz nadpisów i podpisów 43 wiersze. Na odwrocie są następujące adnotacje: „X (iędz?) P (odkanclerzy?) 1562, Od Selima ex Asia, pragnąc przyjaźni (!). Tureckiego listu oryginalnego nie masz. 2 karty. 2”. „Literae Selimi Imperatoris Turcarum ad Regem Poloniae. Nr. 122. Revisum 1730, 1562.” List 124 (Turc) 1730 ma wymiary

57,8×22,2 cm, margines boczny 4,7 cm. W tekście (również prócz nadpisu i podpisu) wierszy 39. Na odwrocie adnotacje polskie z XVI w. (kolejno z lewej strony): „X (iędz?) P (odkanclerzy?) 1562. Od Selima z Asiei. Pragnie przyjaźni. Tureckiego oryginału nie masz. Karty 2. 1” „Selimus Solimani filius Sigismundum Augustum de suo studio certior reddidit 1562”. Dalej — sygnatura z roku 1730 i adnotacja rewizji dokumentów. Dokumenty te wraz z całym Archiwum Koronnym Warszawskim zostały po rozbiórce Polski w r. 1795 wywiezione do Rosji, stąd na marginesach pieczęcie Moskiewskiego Głównego Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych i liczby foliacji rosyjskiej: dokument 122 nosi liczbę 95,96, dokument 124 liczbę 93,94. Rewindykacja nastąpiła po pokoju ryskim.

Treść obu dokumentów jest zasadniczo nieomówiona ta sama: zapewnienie przyjaźni i chęć utrzymywania dobrych stosunków z Polską. Nr. 122 (Turc) 1730 jest jednak obszerniejszy, zawiera bowiem wiadomość o przejeździe posła polskiego, oraz prośbę Selima o udzielenie opieki pewnemu kupcowi tureckiemu. Oba noszą tę samą datę 2 marca 1562. Istnienie identycznych dwu listów należy wytłumaczyć tym, że wobec niepewności dróg sporządzano dwa lub nawet więcej listów tej samej treści, pragnąc mieć pewność, że przynajmniej jeden z nich — wysłanych różną pocztą — dojdzie do adresata. Wysyłany ostatnio nosi nazwę wtórnika. Nie ulega wątpliwości, że Nr. 124 (Turc) 1730 jest wtórnikiem listu Nr. 122 (Turc) 1730. Taki sposób zabezpieczania nadejścia listu praktykowany był w dyplomacji, szczególnie w XVI w.

Ze względu na trudności techniczne nie podajemy oryginalnego tekstu listu Nr. 122 (Turc) 1730, a uwspółcześniamy przekład polski, zachowując przy tym styl dokumentu.

Przekład osobistego i przyjacielskiego listu pod pieczęcią własną Jego Miłości Pana Sultana Selima, syna Jego Miłości Cesarza Tureckiego, pisanego do Jego Miłości Króla Polskiego, przyjaciela swego serdecznie milego i uczciwego etc.

Od Pana Boga Wszechmocnego święta łaska i dary jego natchnionemu Panu chrześcijańskiemu, spośród wszystkich panów, nieźrównanych godności i sławy godnych, posłuszeństwa najgodniejszemu Panu a Królowi Polskiemu, Panie Boże, (ześlij nań) zdrowie, szczęście, z łaski Szej wielkiej, i na wieki racz Go we wszech mnożyć i bronić.

(1) (W krajach) Wiary Świętej Pana Mesjaszowej, sławny, wybrany, oświecony a bardzo wielki Panie nad Pan, (2) mądrości i innych wszelkich cnót pańskich a królewskich, z przyrodzenia (przez) przodków z Łaski Bożej zupełny (3) Panie nad innymi bardzo wielkimi panami państw sławnych zakonu Pana Jezusa, nieźrównany (4) pod względem sławy i czci najsławniejszy, godniejszy i bogatszy Panie, nad innymi wielkimi panami (5) chrześcijańskimi, a zwłaszcza w Państwie Polskim Królu i Panie, Przyjacielu nasz miły! Daj Panie Boże, Waszej Król. (6) Miłości i wszystkim, którzy wam życzliwi i wierni są, we wszech szczęśliwe a fortunne pomnożenie i do długich lat (7) w zdrowiu panowanie, w dzień i w nocy Bożą Łaskę, od wszystkiego złego ochronę, przy tym by żyli (8) w czystym, szczęśliwym powietrzu, z niebiańskim zapachem.

Gdy serdecznie zalecony, przyjacielski i miły (9) list ten własną ręką Naszej Wysokiej Wielmożności zapieczętowany, Waszej Królewskiej Miłości (10) oddany będzie, Wasza Królewsko Miłość przyjaźnie z niego zrozumieć raczy: że obecnie przebywa na (11) naszym Wielmożnym

Dworze, między innymi jemu równymi panami, pewien włoski Żyd i pan, (12) wszelkiej czci godny i wierny, a też nam miły, imieniem Jusuf Nasy wezwany, sługa (13) i mufarikha nasz — racz Panie Boże go wszystkim dobrem opatrzyć — ustosunkowany wśród chrześcijańskich (14) panów; (że) utrzymuje ponadto przyjaźń z jakimś Wam przychylnym i przyjacielem Waszej Król. Miłości, z wielmożnym (15) i pośród wielu innych jemu równych wybranym i uczciwym panem a wychowawcą naszym, (16) panem Ibrahime, tłumaczem najwyższym Jego Cesarzkiej Miłości, mego miłościwego Pana.

(17) (Otóż obaj ci wymienieni ze) strony oświeconej Waszej Król. Miłości, Nam o wielkiej przyjaźni opowiadali; że (mianowicie) Wasza Król. (18) Miłość pod wpływem ich opowiadania, ze swej strony, panom swym — dla przyjaźni Naszej, którą przyjaźnie (19) utrzymywać chcemy — odpisać i odpowiedzieć temu panu a przyjacielowi Waszemu, Wasza (20) Królewsko Miłość rozkazać raczyła, a sнадź i owe listy pod własną pieczęcią też mu o tym posłać (21) często raczyła. Owóż te listy i wskazówki do nas istotnie doszły i zrozumieliśmy (z nich) wolę, i dobrą (22) a życzliwą przyjaźń Waszej Król. Miłości którą nam Wasza Król. Miłość życzliwie okazywać raczyła. (23) A skoro przyjaźń z góry przez Pana Boga obiecana a darowana i natchniona między (jakimi) (24) wielkimi panami albo królami, oczywiście się objawia i okazuje. My (25) tedy dla jej wzrostu drogie, nieźrównane dary swe i czas (?) dać obiecujemy (? jakośkolwiek ?).

(26) A gdy (Bóg) z Łaski swej Świętej, godną a niewymuszoną już też przyjaźń między nami dać (27) raczył, aby się jasno i oczywiście, tak jak słońce na niebie okazać miała, (28) za tych wymienionych panów przyczyną i sprawą też od Waszej Miłości przyjaźni i wskazówki wdzięcznie (29) przyjmujemy. Skoro więc Wasza Król. Miłość te myśli i te przyjazne czyny naśladować (30) raczy wobec Naszej Wielmożności, tedy przez tychże naszych wiernych a też swych przyjaciół, nam o (31) przyjaźni i o zdrowiu swym (Wasza Król. Miłość) będzie przerywać opowiadać raczy. (32) Zaś że sprawozdania tychże zrozumieliśmy, iż do nas posła swego posłać wolę macie. Jeśli zaś (33) Wasza Król. Miłość (takowego) posła, Dali-bóg! My wszelkim obyczajem Łaskę Naszą Cesarzką okazaemy, (34) i wdzięczni będziemy. Zaś naszego (posła) przyjaźnie do Waszej Król. Miłości odprawimy, tak iż się ta (35) przyjaźń między nami pewnie okaże od tych czasów.

Jednak też żądamy od Waszej Król. Miłości (36) by nam o szczęśliwym zdrowiu (Wasza Król. Miłość) oznajmiać nie przestawała, które to nowiny (37) radzi słuchać i przyjmować będziemy. Zaś ze strony Naszej, wysoce bardzo wielkiej i (38) cesarskiej Wielmożności, Dali-bóg! nie innego nie doznacie, jeno też prawdziwej i wiecznej przyjaźni. (39) Prosimy też, by sprawy niejakego tam służy Jego Cesarzkiej Miłości, a nam też przychylnego (40) pana naszego, Mustafę Czelebi, pod opieką Waszej Król. Miłości były.

(41) A zatem daj Panie Boże, Waszej Królewskiej Miłości do długich lat szczęśliwe i fortunne panowanie, (42) a potem wieczne zbawienie. Dane w Caramanii⁸⁾, w miesiącu naszym Bolowadyn (43) w roku 1562 2 marca.

Z rozkazu, z listu i kopii tego listu Jego Cesarzkiej Miłości, Pana Sultana Selima, Pana mego milego, przeze mnie przełożony.

Ibrahim-beg, najwyższy tłumacz i agent Jego Cesarzkiej Miłości, cesarza tureckiego.

Jak widzimy z treści listu, bierze Józef Nasi ważny udział w rokowaniach polsko-tureckich, jako jeden z dwu dyplomatów, którzy pośredniczą w nawiązaniu przyjaznych stosunków między oboma władcami. Godnym uwagi jest, że mimo iż Ibrahim był mahometaninem, nauczycielem Selima II i zaufanym

dworzaninem, wysyłanym często na dwory europejskie w charakterze wielkiego posła, jednak Selim wymienia na pierwszym miejscu Żyda Józefa Nasi, jako tego, który prowadził pertraktacje i nakłaniał do zawarcia przymierza. Widocznie wpływ i znaczenie Józefa Nasi było większe — a też imię jego na dworach chrześcijańskich panujących bardziej znane, co zresztą podkreśla sam Selim, pisząc o nim, że posiada stosunki i jest obeznany z panami Europy.

Zygmunt August wszedł w kontakt z Józefem Nasi najprawdopodobniej za pośrednictwem Ibrahima-bega. Ten, Polak z pochodzenia, sam utrzymując stosunki z dworem polskim i pobierając stałą pensję od Zygmunta Augusta, zapewne wskazał królowi na Józefa Nasi, jako jednego z bardziej wpływowych mężów na dworze tureckim.

Stosunki między Zygmuntem Augustem a Józefem nie ograniczają się jednak do spraw państwowych. Józef, jako reprezentant wielkiego domu bankowego i firmy handlowej Mende-Nasi, prowadzi rozległy handel z krajami Lewantu i prowincjami naddunajskimi (Mołdawia i Wołosza), otrzymuje różne koncesje i monopole od sułtana. Wkrótce rozszerza Józef swe transakcje i na Polskę, uzyskując od Zygmunta Augusta przywileje handlowe na import do Polski malmazji i innych win oraz produktów krajów południowych, oraz na eksport wosku z Polski. Nadanie przywileju motywuje król tym, że czyni to na osobistą interwencję sułtana Selima, jako też w dowód wdzięczności za usługi oraz przyjazny stosunek Józefa do posłów polskich. Naturalnie, że mieszczanie lwowscy, a też i inni zainteresowani, niechętnie patrzyli na te przywileje handlowe, nadane cudzoziemcom, agentom Józefa. Król musi kilkakrotnie wkraczać i upominać, by przestrzegano przywilejów. Czyni to na skargę agentów, ale też na skutek interwencji sułtana, który w grzecznych słowach ale stanowczo domaga się honorowania zaciągniętych zobowiązań, gdyż nieprzestrzeganie przywileju pociągnie za sobą wielkie straty dla „wiernego i oddanego sułtanowi” Józefa.

Również i król korzystał z usług finansowych Józefa Nasi. Świadczą o tym listy osobiste króla do Józefa, w których ten tytułuje byłego marana: „Excellens domine, amice noster dilecte”, bądź też „Illustris Princeps, amice noster dilecte”, zwracając się doń ze zwrotem „celsitudo vestra”. W pierwszym liście z dn. 25 lutego 1570 mowa jest o większej pożyczce, którą król zamierza zaciągnąć u Józefa Nasi, w zamian za co zatwierdzi, względnie przedłuży przywilej. W drugim liście z dn. 7 marca 1570 dziękuje Zygmunta August za oddane usługi. Z wszystkich tych listów wynika, że stosunki między królem Zygmuntem Augustem a Józefem Nasi, dyplomatą i kupcem, układają się w przeciągu dwunastu lat (1560—1571), podczas których możemy je śledzić, jak najpomysłniej.

Niedługo po śmierci Zygmunta Augusta kończy się też kariera polityczna Józefa. Po zgonie Selima II (1574) wstępuje na tron władca niechętny Józefowi, który naówczas powraca w zacisze swego pałacu, poświęcając wolny czas studiom. Umiera w sierpniu 1579.

*) Dokument, na który powołuje się niniejszy artykuł, pochodzi z Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie i został ogłoszony po raz pierwszy w pracy poświęconej prof. M. Schorrowskiemu w 60-lecie jego urodzin. Dr. Mojżesz Schorr, senator Rzpłitej, rabin m. Warszawy, Prof. U.J.P., zmarł w więzieniu w Moskwie w lipcu 1941 r.

¹⁾ M. Bobrzyński, „Dzieje Polski w zarysie”, II str. 69.

²⁾ O. Halecki, „Dwaj ostatni Jagiellonowie”; w zbiorowym dziele „Historia polityczna Polski”, cz. II str. 27.

³⁾ Patrz W. Smoleński, „Dzieje narodu polskiego”, str. 116 i Halecki op. cit. str. 29.

⁴⁾ Gołębiowski, „Czas Zygmunta Augusta”, str. 116.

⁵⁾ Wprawdzie Zygmunt August zachował podczas wojny neutralność, ale udział w wyprawie posła polskiego do Turcji Taranowskiego świadczy o zainteresowaniu się Polski tą wyprawą. Halecki op. cit. str. 77.

⁶⁾ Józef Nasi, Żyd portugalski, maran, uciekł przed inkwizycją do Antwerpii, stamtąd do Wenecji, aż w końcu schronił się do Turcji, gdzie odegrał wybitną rolę na dworze sułtanów Sulejmana Wspaniałego i Selima II jako dyplomata. Tytuł jego brzmiał: „mufeterrika”, dworzanin; „Frenk bey oglu” szlachcic europejski; nedim — współtowarzysz, radca.

⁷⁾ Ibrahim-beg (Joachim Strasz, herbu Odrowąż), Polak-poturzeniec, pełnił w latach 1561—1571 w Konstantynopolu urząd najwyższego tłumacza. Do oryginałów tureckich dołączane były jego przekłady na język polski lub lichą łacinę. On też jest tłumaczem naszych dokumentów. Od Zygmunta Augusta otrzymywał stałą pensję, 100 dukatów rocznie, od r. 1554. Sułtan wysyłał go wielokrotnie do dworów europejskich w charakterze wielkiego posła. W Polsce, w charakterze posła tureckiego, był kilkakrotnie, specjalnie podczas sejmów lubelskiego (1569). O Ibrahime-begu wygłosił obszerny referat na II Zjeździe Orientalistycznym (1932) w Wilnie Dr St. Szachno-Romanowicz. Wiadomości o Ibrahime podaje Bartoszewicz, Tygodnik Ilustrowany r. 1863, nr 219.

⁸⁾ Karamania (po turecku Karaman-li), prowincja turecka, w pld. Azji Mniejszej, leży między Taurusem a Antytauresem i przyległymi górami w porzezu rz. Kyzył—Irmak; obejmuje starożytne krainy Lykaonia, Izaurię i część Kapadocji. Głównym miastem jest Karaman (starożytna Laranda).

WIĘC CZEGOŻ MAMY SIĘ WYZBYĆ?

(Dokończenie ze strony 1-ej)

ciągający chude zgłodniałe ręce po wszystko, co jest właśnie przywilejem i atrybutem tzw. inteligencji. Książka, nie chleb stanowi dla nich artykuł pierwszej potrzeby. Oni chcą być inteligencją. Chcą posiadać inteligencję, chcą należeć do tej właśnie inteligencji, którą już na zapas inni pragną wypędzić z Polski.

Więc czegoż się mamy wyzbyć? Inteligencji? Nigdy! Poezji, która jest źródłem uporu, źródłem siły wobec siebie samych i wobec innych? Przecież! Jakież jest bilans dotychczasowy nielicznej grupki „pozytywistów” elity powrzesniowej czy kadrowki załuszczycykiej? Jeszcze raz podkreślam, że nie piszę pod kątem widzenia jakichś aktualistów, ponieważ dzień każdy może prześcignąć nas wszystkich o głowę albo nawet ściągnąć nam głowę z karku. Ale ten bilans ostatnich miesięcy albo i lat wyraża się teraz w abdykacji, w wyrzeczeniu się wartości realnych i duchowych. To utrata jednej połowy Polski i utrata niepodległości drugiej połowy. To przekreślenie odrębności narodowej. To zatratę Polski w morzu słowiańsko-mongolskim. To negacja wszystkiego, do czego Polska szła przez wieki i do czego iść chce. To zatarasowanie drogi na zachód. To zaguba zniemawidzonej inteligencji, podeptanie ideału narodowego, którego najbardziej wytrwałym chorążym była właśnie „inteligencja”. Ponadto, praktycznie rzecz biorąc, jest to nędza całej Polski, nędza, której w cyfry nie umie żaden Szczepanowski.

Przed kilku laty Tymon Terlecki napisał dla „Wiadomości Polskich” artykuł, którego

tematem była socjologia naszej emigracji. Sądzę, że dziś nastąpiła zmiana przekroju tej emigracji, która zresztą liczebnie zmalała w porównaniu z emigracją nową, dziś w obozach będącą. Wiekować Polacy w obozach nie będą, przynajmniej gdy idzie o tereny zachodnich Niemiec. Kiedyś, w jakiś sposób wyjdą przeciw spoza drutów kolezastych i zaczną nowe życie. Nie wiadomo, jak długo potrwa prowizorium i przez jaki czas będziemy musieli zachować postawę negatywną wobec pytania: wracać czy nie? Być może, zaniosło się na lata, nawet na bardzo długie lata, jest jednak rzeczą pewną, że ci nowi emigranci, w przeciwnieństwie do nas, ani przez chwilę najkrótszą nie będą urzędnikami, nie dostaną prac zleconych. Sądzę przecież, a nawet jestem pewien, że wszyscy będą pragnęli wykonać jedną wielką a wspólną pracę zleconą, mianowicie r a t o w a ć k u l t u r ę p o l s k ą, rozwijać inteligencję, iść wyżej, zamiast schodzić w dół.

Na pytanie: „Czegoż mamy się wyzbyć?” odpowiedz, że n i c z g o o n i e w o l n o j u ż n a m w y z b y w a ć s i ę. Że musimy dążyć do wzbogacenia się pod każdym względem. Do tego, by zachować ideał narodowy choćby w jakimś czwartym czy dziesiątym wymiarze dopóty, dopóki Polska nie osiągnie swych właściwych, przyrodzonych rozmiarów na mapie Europy.

Wielką pomocą dla nich będzie w tej mierze p o e z j a p o l s k a. Na przekór Wypiańskiemu, ona, poezja, sama w sobie, jest wolą. Jest tym, co mieć musimy, by „umieć żądać i wiedzieć, czego żądać”.

Zygmunt Nowakowski

ARKADY FIEDLER

ZWYCIEZCA NIAGARY

I. POWSTANIEC — W AMERYCE

Kanada w swej krótkiej choć dramatycznej historii miała wielu odważnych pionierów i głośnych bogaczy, szlachetnych dobroczyńców kraju i mężów wielkiego serca i fantastycznej kariery, ale wszystkie te cechy w jednej osobie połączyć — dane było dopiero cudzoziemcowi, który przybył do Ameryki jako biedny uchodźca, wygnany przez wroga ze swej ojczyzny, słowem, dane było Polakowi, Kazimierzowi Gzowskiemu. Jak Kanada — Kanadą, nie było do dziś przykładu, by jakiś cudzoziemiec dostąpił tytułu zaszczytów i pozyskał tyle uznania, czy to ze strony kanadyjskiego społeczeństwa, czy rządu, czy wreszcie brytyjskiej królowej Wiktorii. Przyczyną tego był nieskazitelny charakter Gzowskiego i jego wybitne zdolności twórcze, będące znamieną cechą wielu Polaków za granicą.

Pochodząc z Kresów Wschodnich, z Mińszczyzny, z rodziny zasłużonych żołnierzy, miał ojca, który po rozbiorach Polski służył jako oficer w carskiej gwardii w Petersburgu i który posłał swego syna do wojskowej szkoły inżynierii w Kamieńcu Podolskim. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, Kazimierz Gzowski, naówczas podporucznik, przystąpił z bronią w rękę do walki w obronie sprawy polskiej.

Po klęsce 1831 roku — zwykłe dzieje: ucieczka Gzowskiego do Galicji, więzienie w Austrii, wygnanie do Ameryki. Tu, w Nowym Yorku, wielu z jego towarzyszy niedoli ginęło z bezradności i rozpacz, niezdolnych jąć się jakiegokolwiek praktycznego zawodu. Nie Gzowski! Dwudziestojedno-letniemu młodzikowi spodobał się od razu pionierski kraj Jankeśów. Wyrzucił z siebie zęby i zaczął pracować. Był muzykalny, więc uczył innych muzyki, a także i fechtunku, zdobywał sobie chleb twardą pracą. Potem, spragniony wiedzy, uczył się prawa i zwyczajów nowego kraju. Posiadł ich znajomość zadziwiająco szybko i już po niewielu latach widzimy go jako adwokata. Zdobył sobie również licznych odanych przyjaciół wśród Amerykanów, ożenił się z Marią Beebe, córką poważanego lekarza, i zdawało się, że jego życie potoczy się nadal gładką, wyzłobioną karierą prawnika z normalnym amerykańskim powodzeniem.

Ale właśnie wtedy nastąpił u Gzowskiego szczęśliwy przebieg zrozumienia, kim on właściwie jest, jeden z tych przebiegów, które często decydują, czy człowiek pójdzie w górę zamiast w dół, czy stanie się kimś, zamiast rozpłynąć się w szarości. Gzowski zrozumiał, że jego naturą jest twórcze budowanie, a nie prowadzenie procesów, więc z właściwą sobie energią decyzji porzucił adwokaturę i przeszedł do inżynierii, powracając do pierwszej swej profesji z czasów kamienieckich.

Zatrudniony w firmie inżynierskiej, wykonującej prace na pograniczu amerykańsko-kanadyjskim, Gzowski znalazł się pewnego dnia w hotelu w Kingston, w ówczesnej stolicy Kanady. Nazajutrz po jego przybyciu do miasta zjawił się u niego adiutant Generalnego Gubernatora i zapytał urzędowo, czy jest on spokrewniony ze Stanisławem Gzowskim, ongiś oficerem carskiej gwardii w Petersburgu. Młody uchodźca, pełen żywych przeżyć, przyznał się, że jest jego synem i był przekonany, że znów wypęda go z tego kraju za udział w polskim powstaniu. Lecz tym razem mylił się.

Sir Charles Bagot, Gubernator Generalny Kanady, przebywając ongiś w Petersburgu, przyjaźnił się z jego ojcem, i teraz ze szczera radością powitał w Kanadzie syna swego dawnego przyjaciela. W serdecznej rozmowie wypytując się o jego losy i plany na przyszłość zaofiarował mu pracę w Kanadzie.

— Takiego jak pan potrzebujemy w naszym kraju!

Gzowski nie odrzekł: ileż razy słyszał to samo od Amerykanów w Stanach Zjednoczonych! Gubernator zrozumiał jego wahania, i dodał:

— Kanada jest krajem bardziej pionierskim niż Stany, i bardziej także potrzebuje rozbudowy!

Młody inżynier ujrzał w swej ambitnej wyobraźni wizję dróg, mostów, kanałów, których jeszcze nie było, a które mógł stworzyć.

Przystał. Nie wydalony, jak się tego obawiał, lecz właśnie zaproszony do kraju, w którym czekała go kariera, jaka niewielu ludziom przypada w udziale. Zaproszony — pod dobrą wróżbą, bo pod znakiem starej przyjaźni między jego ojcem a brytyjskim Gubernatorem.

II. ZWYCIEZCA NIAGARY

Ludziom starej Europy trudno sobie wyobrazić, czym dla krajów dziewiczych, jak Kanada przed stu laty, były środki komunikacyjne. Zaradny emigrant był tam ważny, zuchwały pionier jeszcze ważniejszy, lecz najważniejsze były drogi, bez których ludzka dzielność szłaby na marne w gęstwinie lasów. Tylko drogi budziły do życia, i to dosłownie, martwą dotychczas dziczą kanadyjską.

Inżynier Gzowski, mianowany przez Sir Charlesa Bagota kierownikiem robót publicznych w zachodnim Ontario, włożył od razu w tę pracę cały swój młodzieńczy zapał i temperament, iście polski temperament. Była to bujna, pełna chwały saga, tworzona na mapie Kanady i pisana nie zwykłym słowem, lecz pieśnią mostów, szos, portów i latarni morskich.

Przybywszy z Polski okazał się fenomenalnym pracownikiem, przyswajającym krajowi najnowsze zdobycze techniki. Prowadziło to czasem do zabawnych incydentów, jak wtedy na przykład, gdy Gzowski zbudował most przez rzekę Tamizę pod miejscowością London... w Ontario. Poczciwi obywatele miasta bali się tego mostu używać: nowoczesna konstrukcja wydała im się zbyt lekka i pajęcza, niesolidna. Na szczęście kwaterował tam pułk artylerii i Gzowski poprosił pułkownika, by na próbę posiał przez most baterię dział.

— Well, zgoda! — odrzekł sumiasty wojak. — Lecz pod warunkiem, że pan staniesz pod mostem!

Przeszła szczęśliwie bateria, przeszedł cały pułk. Most i inżynier zdobyli zaufanie ludności, i tak było zawsze i wszędzie.

Po sześciu latach tych prac — brzmiały raporty oficjalne pełne pochwały — nie było okolicy w zachodnim Ontario, w której młody inżynier nie pozostawiłby widocznych śladów swej wyjątkowej działalności. Wtedy powierzono Gzowskiemu inną pracę: przebudowę portu w Montrealu, najważniejszego ujścia dla produktów Kanady. Gdy po trzech latach dzieła dokonał, zmodernizowany port mógł przyjmować największe statki atlantyckie.

Gzowski, pilnie śledzący wszelkie nowe prądy, pierwszy w Kanadzie zrozumiał znaczenie kolejnictwa żelaznego, które w owe czasy, w połowie 19. stulecia, zaczęło swój zdobywczy pochód w Ameryce. Pełen entuzjazmu, szybko przyswoił sobie wszystkie tajniki nowej dziedziny. Nie trwało długo, gdy został mianowany głównym inżynierem pierwszej kolei, łączącej Kanadę ze Stanami Zjednoczonymi, tzw. St. Lawrence and Atlantic Railway.

Po jej wykonaniu poszedł o krok dalej: założył prywatną spółkę z trzema innymi pionierami kolejnictwa, MacPhersonem, Galttem i Holtonem, która, oparta na geniuszu Gzowskiego, stała się jedną z najpotężniejszych kompanii owego czasu w Kanadzie. Zwano ją powszechnie „the four biggest”. Budowała koleje, szczególnie w zachodnim Ontario, np. między Toronto a granicą Stanów Zjednoczonych na zachodzie.

Wkrótce niestrudzonemu Polakowi i tego było za mało: założył własną fabrykę konstrukcji żelaznych i szyn kolejowych, które dostarczał dla swych śmiałych przedsięwzięć w kanadyjskim terenie.

Po kilku latach, około 1860 roku, Gzowski, nie tylko wielki inżynier, lecz równocześnie i obrotny przemysłowiec i bystry finan-

sista, rzecz szczególnie ceniona w Ameryce — był już jednym z najbogatszych ludzi w Kanadzie. Należy dodać: i z najpopularniejszych, pomimo że dopiero w roku 1871 dokonał największej ze swych prac inżynierskich.

Był to most przez rzekę Niagarę, drugi w ogóle most między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi, konstrukcja olbrzymia, wyjątkowo trudna i wymagająca zarówno dzielności inżynierskiej, jak i nadzwyczajnej energii i mocy ducha. Była to trzyletnia zacięta walka między człowiekiem a żywiołami, które sprzysięgły się, by zniszczyć wszystko to, co człowiek zaczynał. Raz spławieniem fundamentów groziły spiętrzone kry, innym razem olbrzymia tratwa, na milę rozległa. Inżynier Gzowski na wszystko znajdował radę i walkę ostatecznie wygrał. Most stanął, a oddany w służbę ludzkości, został uznany za jedno z cudów techniki ówczesnych dni. Olsniony świat inżynierski, zazwyczaj pochopniejszy w surowej krytyce niż w pochwałach, orzekł, że „jest to jedna z najbardziej gigantycznych prac na kontynencie amerykańskim”.

Nazwano go Mostem Międzynarodowym, jako że łączył dwa narody, lecz nazwa ta odpowiadała jeszcze z innej przyczyny, raczej bardziej osobistej, choć równie znaczącej: twórczym śmiałym rzutem tego mostu kanadyjsko-amerykańskiego był przecież geniusz Polaka.

III. CHLUBNY TYP POLAKA-KANADYJCZYKA

Kazimierz Gzowski miał, między innymi, i tę uderzającą cechę, że był bardzo przystojny i uchodził za pierwszego wśród przystojnych mężczyzn epoki. Wysoki, barczysty, poważny, o marsowym obliczu mógł być błędnie i zarozumiały przy swym powodzeniu inżynierskim — a jednak był to człowiek najmiłszy w obejściu, skromny i uczynny. Był może, że właśnie jego nieomnierna dobroć wraz ze szlachetnym dostojeństwem przykuła najbardziej do niego serca anglosaskie i sprawiła, że szacunek dla Gzowskiego wyrażał się w tak wyjątkowych zaszczytach, jak w mianowaniu jego, byłego cudzoziemca, honorowym adiutantem osobistym królowej Wiktorii, czy w nadaniu mu tytułu Sir'a. Przez pewien czas powierzono mu również zastępstwo nieobecnego gubernatora prowincji Ontario.

Dziwnie bogata, prawie niewyczerpana h'va lista zasług tego przybysza z dalekiej Polski. Ów twórca kolei kanadyjskich, mostów i portów miał czas i serce, by na przykład nokołać piękne okolice wódospadu Niagarę i przeprowadzić, dla ich wiecznej ochro-

ny, utworzenie tam Parku Narodowego. Ów inżynier szerokich pomysłów był równocześnie zagorzałym miłośnikiem kwiatów i umiał wyhodować jakiś wyjątkowo uroczy i cenny rodzaj chryzantem, za który zdobywał z dumą nagrody na wystawach.

Cechą, tak wybitną — zdaje się — polską, była głęboka jego troska o niepodległość swej przybranej ojczyzny, z którą związał się „na śmierć i życie”. Gdy w r. 1861 tzw. ruch feniński zagrażał konfliktom zbrojnym między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi, Gzowski wypracował szczegółowy plan obrony Kanady i sam nawet chciał finansować budowę niektórych wojskowych centr i składnic. Londyn ostatecznie odrzucił jego plan, ażeby nie powiększać międzynarodowych targ, lecz zarazem przekonał się o szczerym i uczynnym patriotyzmie Gzowskiego.

Gzowski zatem, zamiast realizacji planu, zorganizował związki strzeleckie w Kanadzie, które rozbudowały się w potężną sieć i, tworząc poważny czynnik obronny, równocześnie przyczyniały się do zacieśniania węzłów sympatii między Anglią a Kanadą: rok w rok z Kanady wyjeżdżała na imperialne igrzyska do Wimbledon pod Londynem liczna ekipa strzelecka pod kierownictwem Gzowskiego, który w Londynie, dzięki swej niezwykłej hojności i gościnności, stawał się „pierwszym ambasadorem Kanady”, jak go ktoś ze współczesnych nazwał.

Niektórzy historycy kanadyjscy wojskowo-obywatelską działalność Gzowskiego stawiają na równie piaszczyźnie z jego zasługami jako inżyniera. Nie ulega wątpliwości, że osobisty urok Gzowskiego i kierunek jego wysiłków przyczyniały się w pewnej mierze do utrwalenia spojeń Imperium Brytyjskiego, spojeń wyraźnie zagrożonych na odcinku kanadyjskim w niektórych okresach XIX stulecia.

Najpiękniejsze jednak ludzkie cechy Gzowskiego ujawniały w swym pożyciu domowym. Był zawsze najczulszym mężem, troskliwym ojcem i dobrotliwym dziadkiem. Jego wnuki i wnuczki, dziś jeszcze żyjące, w swych wspomnieniach nie mają dość czułych słów dla swego dziada.

Gzowski stworzył dla siebie i rodziny wspaniałą siedzibę w sercu miasta Toronto, zwaną „The Hall”, otoczoną parkiem, w którym żyły oswojone jelenie i ptaki leśne. W rezydencji tej posiadał cenną galerię obrazów, sam będąc ich wytrawnym znawcą — i wydawał przyjęcia, syne w przepychu i słowności gościnności. Jakkolwiek nie chciał brać udziału w życiu politycznym kraju, zawsze udzielał chętnie swych porad i służył doświadczeniem, a wszyscy gubernatorowie generalni mienili się jego osobistymi przyjaciółmi.

Był to ze wszech miar wybitny człowiek, nie tylko na skalę polską czy kanadyjską, a jego silna indywidualność objawiała się, obok prac inżynierskich, także we wpływie na otoczenie. Ów wojak z pochodzenia i ducha a inżynier z geniuszu miał trzech synów i trzy córki. Wszystkie córki wyszły za mąż za brytyjskich oficerów, którzy dosięgali się później stopni generałów; w potomków zaś męskich Gzowski jak gdyby przelał swój zmysł inżynierski.

Nawet wnukowie tego nazwiska są głośnymi inżynierami w Kanadzie, z których jeden np. buduje liczne mosty w Ontario, inny, C. Stanislas Gzowski, w służbie Canadian Pacific Railways przebiegał przez Góry Skaliste tak przemysłowe tunele, że do dziś stanowią wzór zaradności i inżynierskiego sprytu.

Wielu jest dziś potomków Kazimierza Gzowskiego w Kanadzie i w Wielkiej Brytanii. Wszyscy wciąż jeszcze żyją w cieniu jego potężnego ducha. Należą do pierwszych rodzin tych krajów.

Gzowski dożył 85 lat, umierając w 1898 roku. Już dawno były powstanie 31 roku stał się — rzecz jasna — Kanadyjczykiem, ale w późniejszym jego wieku są dwa zdarzenia, świadczące o polskim sercu: pod koniec życia chciał zaspokoić swą tęsknotę za ojczystym krajem i odwiedzić rodzinne strony, nie mógł jednakże, gdyż rząd brytyjski odmówił mu paszportu do Rosji, obawiając się, że mogłaby go tam nawet po tylu latach osiągnąć zemsta rosyjskiej władzy.

Gdy Paderewski pod koniec 19. stulecia urządził koncert w Toronto, Gzowski zgłosił się u niego, a gdy mistrz przemówił do niego po polsku, iż wzruszenia polaży się z oczu staruszka.

*

Tam, gdzie dawniej był jego wspaniały ogród w Toronto, dziś jest publiczny plac Aleksandry, darowany miastu przez rodzinę Gzowskich. I rzecz dziwna, dziś rozlega się tam często polski język, wesół gwar dzieci, hasających na placu. Mieści się tu dzielnica zamieszkała gęsto przez polskich emigrantów. Jest to oczywiście przypadkowy zbieg okoliczności, tak samo jak przypadkiem było, że ów kapitalny inżynier, o uderzającym sarmackim wyglądzie i wyniosłej postawie romantycznego żołnierza, o dziwnym połączeniu w sobie dumy i dobroci, był jakby przeniesieniem żywcem na grunt kanadyjski wszystkiego tego, co najlepszego pozostało z ówczesnej Polski.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Hassolei Street No. 9.
Redaktor: St. A. Baicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

William H. Chamberlin.

INTERES ZE STALINEM?

(Dokończenie ze strony 2-ej)

międzynarodówki komunistycznej, ludzie tacy, jak: Bierut w Polsce, Tito w Jugosławii, Dimitrow w Bułgarii, Patrascanu w Rumunii — pociągają sznurki w marionetkowych reżimach bez żadnej kontroli wolnych wyborów. Naturalna podejrzliwość co do ostatecznych zamiarów Rosji wzrasta nieuniknienie. Jeżeli istnieje tam prawdziwa chęć zachowania pokoju, potężne mocarstwa — nie tylko ze względów etycznych, ale w dobre zrozumiałym własnym interesie — muszą być skłonne przyznać prawdziwe prawo samookreślenia się małym i słabym państwom.

(4) Handel amerykańsko-sowiecki może być ogniwem z wzajemną korzyścią łączącym obydwa państwa. Zakładając, że znajdują się odpowiednie sposoby finansowania, Rosja stanowi dla Ameryki wielki potencjalny rynek dla maszyn, urządzeń kolejowych i środków komunikacji, urządzeń elektrycznych. Znajduje się również zbyt dla towarów konsumpcyjnych, szczególnie dla wszystkiego, co można znaleźć w Ameryce w wielkich ilościach za pięć lub dziesięć centów, gdy tylko zelże spartańska polityka sowiecka, dająca pierwszeństwo narzędziom produkcji. Stalin w wywiadzie danym Eric'owi Johnstonowi ubiegłego roku wyliczał jako sowieckie towary wywozowe: mangan, drzewo, masę drzewną, złoto, futra, chrom, platynę, miedź, naftę i wolfram.

W każdym razie, nim można będzie z pewnością liczyć na wymianę handlową między Ameryką i Sowietami, mogącą dojść do bilionów dolarów rocznie, rozważone być muszą starannie dwa czynniki: jeden polityczny i drugi gospodarczy. Było by krótko wzmrocznym szaleństwem, potencjalnie znaczenie zgubniejszym, niż sprzedawanie żemu żelaznego Japonii, gdyby Stany Zjednoczone otworzyły hojne kredyty dla przemysłowego i wojennego rozwoju Sowietów, nim pojawią się wyraźne i wystarczające oznaki, że polityka sowiecka dąży do pokojowego wewnętrznego rozwoju, a nie do niepokojącej agresji zewnętrznej. Umowa co do ograniczenia zbrojeń byłaby pożądaną oznaką wyjaśnienia się politycznego horyzontu.

Zakładając, że te polityczne przeszkody będą wyjaśnione, przypomnieć należy, że udział Rosji w handlu światowym w przeszłości nie był zbyt imponujący. Związek Sowiec-

ki w 1938 r., ostatnim roku przedwojennym, obliczany był na 1,2 procent udziału w handlu międzynarodowym — nieco więcej niż Polska, która posiadała jedną piątą ludności Rosji. Wywóz Ameryki do Rosji w ciągu pięciu lat przed wojną wynosił przeciętnie czterdzieści milionów dolarów. Roczny przywóz do Ameryki w tym samym okresie wynosił przeciętnie dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Skromne te cyfry mogą się bez wątpienia podnieść, jeżeli świat po wojnie wejdzie w okres pokoju i zwiększającej się produkcji. Jeżeli jednak nie chcemy naszych towarów po prostu oddawać, musimy w zamian za nie otrzypywać inne towary, usługi lub możliwość wydawania uzyskanych w ten sposób należności w specyficznym niewidzialnym eksporcie, jakim byłyby wydatki turystów, podróżyujących po Zw. Sowieckim.

W przededniu ostatecznej utraty sił, przed dwudziestu z górą laty, Lenin wypowiedział procyfny sąd o roli Stalina:

„Towarzysz Stalin, zostawisz sekretarzem generalnym (partii komunistycznej), skupił olbrzymią władzę w swych rękach i nie jestem pewien, czy będzie on zawsze wiedział, jak się nią posługiwać z dostatecznym umiarem”.

Obecnie, częściowo w wyniku hojnej pomocy z tytułu lend-and-lease bill'u, sięgającej jakichś osmiu — osmiu i pół bilionów dolarów, „towarzysz Stalin” skupił w swych rękach olbrzymią władzę, dotyczącą nie tylko Rosji, lecz całego świata. Czy zechce z niej korzystać „z dostatecznym umiarem”? Od odpowiedzi na to pytanie zależą losy Stanów Zjednoczonych, Związku Sowieckiego i sam nawet charakter oraz istnienie naszej cywilizacji w nadchodzących latach.

Ostateczną odpowiedź dać może tylko Stalin, jego pomocnicy, być może — jego następcy. Ameryka może tylko podkreślić korzyści, jakie spłyną na ludy Związku Sowieckiego, na naród amerykański, na „wszystkich ludzi we wszystkich krajach” z długiego okresu pokoju, bezpieczeństwa i łącznego wysiłku podniesienia ludzkiej stopy życiowej na całym świecie. Może ona również jasno wyrazić swą wolę zrzuca na szalę całej swej politycznej i gospodarczej potęgi, aby uderzyć wszelkie plany bezprawnej agresji i totalistycznego opanowania świata.